Malcolm Jameson

Ruchome piaski młodości

(Quicksands of Youthwardness)

Astonishing Stories, October 1940, December 1940, February 1941
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

ROZDZIAŁ I

WYBUCH NA *THUBANIE*

Potężnie zbudowany stary kapitan Yphon siedział z twarzą ponurą jak granit, przypięty pasami do fotela głównego pilota szaleńczo spadającego *Thubana*. Jego zmęczone oczy ani na chwilę nie odrywały się od kłębiącej się przed nim masy wskaźników i tarcz urządzeń pomiarowych. Nie było potrzeby, by jego spojrzenie zbłądziło w inne miejsca, gdyż każdy port widokowy wychodzący na zewnątrz zamknięty był z obu stron i osłonięty, w ochronie przed powodzią promieni Syriusza.

Z wyjątkiem najbardziej odpornych przyrządów, mierzących niewidzialne lecz wszechobecne linie sił magnetycznych, statek był ślepy. Już dawno temu ten zaciekle zalewający ich potok promieniowania spowodował wyparowanie subchromatycznych płytek w specjalnych kamerach Ulbersona, pomimo że były one skryte w wieżyczkach ochronnych. Zarówno aparaty fotograficzne, jak i peryskopy rozpadły się, a ich stopione soczewki spłynęły, rozlewając się jak miód po płytach kadłuba.

To właśnie mierniki grawimetryczne budziły w Yphonie poważny niepokój. Już od kilku sekund ich ostrzegawcze gongi dzwoniły złowieszczo, domagając się uwagi. Odczyt wielkości natężenia pola absolutnego był zły, niewiarygodnie zły – dwukrotnie wyższy niż ten, który przewidywano w specyfikacji działania statku. Ale co gorsza, igła wskazująca tempo przyśpieszenia drżała mocno oparta o końcowy ogranicznik. Sytuacja przestała być już niebezpieczna. Stała się rozpaczliwa.

Kapitan Yphon, nie odwracając głowy, zawołał cicho,

— Panie Ronny. Proszę tu podejść – szybko.

Znękany główny inżynier, potykając się, przemieścił się o kilka stóp od swojego stanowiska i pojawił się u boku kapitana. Kapitan nie odezwał się od razu. Wciąż przyglądał się przyrządom ostrzegawczym. Zanim wyda ten drastyczny rozkaz, musi być absolutnie pewny.

W czasie tej krótkiej chwili zawahania pozostali ludzie w pomieszczeniu zwrócili głowy w stronę kapitana, rozpaczliwie pragnąc usłyszeć jakieś słowa nadziei. Był tam Sid Daxon, szczupły pierwszy oficer, przypięty pasami do pulpitu ze sterami, otoczony wianuszkiem czterech pomocników. Za nimi znajdowali się ludzie Ronny'ego, kolejnych czterech marynarzy, każdy z nich zajmował się jakimś segmentem skomplikowanej tablicy rozdzielczej. W głębi stał chirurg statku, sprawny i przyjazny dr Elgar, jedną ręką trzymający się wspornika, zaś drugą starający się osłonić tacę pełną strzykawek wypełnionych silnym roztworem Angrama,

tym błogosławionym specyfikiem przeciwko ciężarowi nadmiernej grawitacji.

Mocno spoceni, z rozbieganymi oczami, z trudem oddychając, czekali na decyzję kapitana. Nieobecny był tylko Ulberson – wielki Ulberson, badacz – za którego naleganiami zbliżyli się tak bardzo do Syriusza. Leżał w innym pomieszczeniu, skomląc na swojej pryczy, błagając o łyk powietrza. „Niech ktoś coś zrobi, niech ktoś coś zrobi" – brzmiał powtarzany przez niego refren. Ale nikt go nie słuchał, a jeśli nawet coś słyszał, to lekceważył jego słowa. Ci pozostali byli zbyt zajęci robieniem tego czegoś. Bo ci szaleńczo wyglądający ludzie w pomieszczeniu sterówki, wcale nie byli przerażeni. Żaden z nich nie znał znaczenia słowa „strach". Ich znękany, zatroskany wygląd wynikał wyłącznie z niekontrolowanych odruchów napiętych mięśni i umęczonych gruczołów.

— Ronny — polecił kapitan, — niech pan zbierze rezerwy – wszystkie. Wyłączcie urządzenia pomocnicze – z wyjątkiem pomp powietrza, nie możemy na nich oszczędzać. Wszystko, proszę pamiętać, do ostatniej kropli energii – nawet światła.

— Aye, aye, panie kapitanie — wydyszał Ronny. Potem z wahaniem dodał: — Dla pańskiej informacji, sir, Kinetogen jest już w stu procentach przeciążony. Wybuchnie, na pewno, jak cholera.

— W takim razie, my też wylecimy w powietrze — to było wszystko, co powiedział kapitan, wciąż patrząc na swoje mierniki. Lepiej było wylecieć w powietrze, niż zostać powoli zmiażdżonym i upieczonym przez Syriusza, dokończył w myśli, ale nie widział potrzeby aby mówić o tym na głos.

Ronny wykonał gest w stronę swoich ludzi przy tablicy, wiedząc, że usłyszeli i zrozumieli rozkazy. Szybko, w milczeniu, pociągnęli za przełączniki rozłączając jedne obwody – zaś załączyli inne. W kolejnych korytarzach i przejściach statku rozległy się ostrzegawcze brzęczyki. Ludzie przygotowali się na nieunikniony wstrząs. Sam Ronny wrócił do tablicy, zanim zmiany na niej zostały ukończone. Chwycił dźwignię głównego zasilania i pewnie pociągnął za nią.

Raptownie zgasły wszystkie światła. Niczym głuchonieme duchy w mrocznym pomieszczeniu, oświetlonym jedynie przez niesamowitą poświatę maleńkich lampek zasilanych bateriami na panelach wskaźników, ludzie czekali. Kadłub drżał coraz bardziej, a potem jeszcze bardziej, gdy uderzenia za uderzeniami potężnego przeciwciągu rzucane były przeciwko żarłocznemu uchwytowi Syriusza. Nawet z odległości wielu stóp korytarzy i przez kilka włazów awaryjnych, które oddzielały od nich maszynownię, słychać było wycie szalejącego Kinetogenu, wznoszące się do poziomu dzikiego wrzasku i czuć było, jak dygocze, wyrywając się z podstawy.

— Dziękuję Ronny — dobiegł ich spokojny głos kapitana — jeśli wytrzyma chociaż dziesięć minut, to wszystko będzie w porządku.

Ani Ronny, ani nikt inny w pomieszczeniu nie wierzył, że Kinetogen wytrzyma nawet dwie minuty, a co dopiero dziesięć. Nie sądzili też, aby dziesięć minut wystarczyło choćby w połowie, ale byli wdzięczni kapitanowi, za jego słowa. Nikt się nie odezwał. Nie było nic, co można byłoby powiedzieć. Mogli tylko czekać.

Wibracje nasiliły się, a w całym pomieszczeniu, dopasowując się do straszliwego crescendo wyrywającego się Kinetogenu, podniósł się chór odgłosów wskazujących na to, że metalowe śruby, luźne papiery, meble – wszystko dołączyło do szalonego tańca.

Poza ciężkimi oddechami, wstrząsani drganiami, przytłoczeni ludzie nie wydawali żadnych dźwięków. Wtedy, w chwilowej przerwie w dzikiej kakofonii wypełniającej wewnętrze statku, kiedy ten zbierał siły, że tak to określmy, do erupcji wulkanu jeszcze głośniejszego wycia, do pomieszczenia sterówki przebiło się stłumione zawodzenie. Dobiegało ono z przejścia prowadzącego do pomieszczeń sypialnych i stanowiło żarliwy wyraz żalu.

— Moje światła zgasły – przyślijcie kogoś.

Daxon zaczął szarpać się z pasem bezpieczeństwa, uwolnił się. Zataczając się w ciemności znalazł właz wejściowy, zatrzasnął go i oparł się o niego.

— Jeśli na coś nie możemy poradzić, musimy to przyjąć — mruknął przez zaciśnięte zęby, — ale na B…

Było to niemalże miłosierne w swej gwałtowności. Nikt nie mógł powiedzieć, kiedy to się stało ani jak. Kinetogen, zamknięty w swej całkowicie zmechanizowanej, zdalnie sterowanej maszynowni, zrobił wszystko, co mógł, a będąc zwykłą maszyną, nie mógł zrobić nic więcej. Wyleciał w powietrze.

Sid Daxon odzyskał przyćmioną świadomość. Było zupełnie ciemno, a w ciężkim powietrzu unosiły się opary topiących się metali. I było gorąco – potwornie gorąco. Zsunął bezwładne ludzkie ciało z uwięzionych nóg i drżącą ręką przejechał po twarzy i głowie. Włosy? Tak. Miał ciągle włosy, nos, oczy – wszystko. Sztywno przetoczył się na bok i zdołał podnieść się nieco na rękach i kolanach. Poruszając się na czworaka, macał po płytach podłogi, próbując się zorientować gdzie jest. Po drodze napotkał inne porozrzucane ciała i obmacywał je, nasłuchując. Oni żyli, wszyscy!

Po pewnym czasie dotarł do cokołu fotela głównego pilota. Szybkie badanie ostrożnymi rękami powiedziało mu, że kapitan Yphon też żyje, wciąż mocno przypięty do swojego stanowiska. Teraz przypomniał sobie, że w podstawie pulpitu z przyrządami znajdowała się mała szafka. Tam powinny być przenośne latarki ręczne. Szarpał za gładką powierzchnię drzwiczek, aż je otworzył. Były tam – miał światło!

Zanim podjął jakąkolwiek próbę obudzenia kogokolwiek innego, poświecił latarką na tarcze przyrządów. Tak jak się należało spodziewać, przyrządy w maszynowni były martwe. Nic tam nie mogło ocaleć. Ale impulsy z kosmicznej próżni na zewnątrz, wciąż były odbierane, oceniane i raportowane. Grawimetry wskazywały siłę pola równą prawie zeru, i to malejącą. Muszą oddalać się od Syriusza w ogromnym tempie – musieli znajdować się już bardzo daleko! Rzut oka na sortowniki promieni i spektrograf, potwierdził to. Ten jeden desperacki wysiłek, rzucenie całej

posiadanej mocy skoncentrowanej w jednej kolosalnej dawce, załatwił sprawę. Wyrwali się.

Znalazł dr Elgara leżącego twarzą w dół wśród resztek przewróconej tacy i rozbitych probówek. Musi najpierw obudzić Elgara. To on najlepiej będzie wiedział, co zrobić z ogłuszonymi siłą eksplozji ofiarami. Ponadto Elgar był jego kumplem – razem urządzali sobie libacje, gdy tylko trafili na jakąś fajną planetę.

W samą porę. Doktor Elgar sapnął i odzyskał zmysły. Jednego po drugim cucili pozostałych, jako ostatniego kapitana. Poza zwykłymi siniakami czy skaleczeniami nabytymi podczas upadków, nikomu nic się nie stało.

Po krótkiej chwili Ronny znalazł przerwy w obwodach oświetleniowych awaryjnego i zdołał włączyć kilka słabych świateł. Kapitan Yphon, gdy tylko uwolniono go od pasów, mimo że zesztywniały wskutek swego zaawansowanego wieku i obolały od skurczów po niezliczonych godzinach spędzonych w twardym fotelu, natychmiast przystąpił do inspekcji uszkodzonego *Thubana*. Oficerowie oprowadzali go, oświetlając drogę ręcznymi latarkami.

Maszynownia przedstawiała sobą obraz kompletnego zniszczenia. Ściany działowe były porozrywane i poskręcane jak zmięty papier, grodzie pośrednie poprzebijane w wielu miejscach przez niszczącą falę odłamków gigantycznego Kinetogenu, lecz nigdzie nie doszło do naruszenia kadłuba. Ronny z wykrzywioną twarzą spoglądał na porozrzucane fragmenty wielkiego silnika statku. Urządzenia pomocnicze mógł naprawić lub wymienić na nowe, z magazynów z zapasami, ale z silnikiem nie dało się już nic zrobić, chyba że w jakiś sposób zdołaliby wylądować na jakiejś planecie. Jednak nawet gdyby udało im się dokonać tego nieprawdopodobnego wyczynu, musiałoby to być cywilizowana planeta, co w tych stronach raczej należało do rzadkości.

Chłodno i surową miną na twarzy, kapitan Yphon podsumował sytuację. Kiedy obejrzał już wszystko i zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo są bezradni, powoli zdjął okulary i skrupulatnie je przecierając, oznajmił po prostu:

— Cieszę się, że nikomu nic się nie stało. Wszyscy jesteście dobrymi marynarzami i tak się zachowaliście. — Wykręcił swą buldogowatą twarz i splunął: — Ale ta szturchanina z Syriuszem, to była tylko potyczka – prawdziwa zabawa zacznie się dopiero teraz.

W tej pierwszej chwili ulgi, po stwierdzeniu, że utrzymali się przy życiu, a ich statek jest w zasadzie nietknięty, ta ostatnia uwaga nie wpłynęła zbyt mocno na załogę *Thubana*. Tak czy inaczej, w kosmosie motto „Jedna rzecz na raz” było jedyną możliwą filozofią życia. Wykaraskali się z jednego problemu, wydostaną się z kolejnych.

Wszyscy marynarze zajęli się sprzątaniem wrakowiska na rufie i naprawianiem przebitych oraz rozerwanych grodzi. Mieli wiele wypaczonych pokryw włazów do wyprostowania i ponownego zamontowania, pękniętych rur i przerwanych przewodów do podciągnięcia i wymiany, oraz mnóstwo innych rzeczy do naprawienia. Co do Kinetogenu, nie dało się z nim zrobić nic poza pozmiataniem jego części i

ułożeniem ich w pojemnikach, tak by nie przeszkadzały w chodzeniu. Tymczasem *Thuban* dryfował w przestrzeni, z tą niewielką szczątkową prędkością, jaką miał, gdy wymknął się z żarłocznego uchwytu Psiej Gwiazdy.

Obserwując spokojny powrót do rutyny, Ulberson, który wyczarterował statek i był nominalnym szefem ekspedycji, bez trudu odzyskał spokój.

— Wiedziałem, że da pan radę się stamtąd wyrwać – w przeciwnym razie nigdy bym nie doradzał aby wchodzić do wnętrza tego układu — powiedział pustym głosem do kapitana Yphona. — Szkoda, że straciłem swoje aparaty fotograficzne. I szkoda również, że ktoś wpadł w panikę i zniszczył główny silnik.

— Panie Ulberson — kapitan nie uczynił najmniejszego wysiłku, by skryć swoje obrzydzenie — kiedy wrócimy na Ziemię, jeśli w ogóle nam się to uda, będzie miał pan prawo postawić dowolne zarzuty co do sposobu obchodzenia się przeze mnie z tym statkiem. W międzyczasie przejmuję pełne dowodzenie. Od tej pory będzie pan traktowany jak pasażer i jako takiego muszę pana prosić o powstrzymanie się od przeszkadzania mojej załodze.

Kiedy kapitan wychodził spokojnie z pomieszczenia, Ulberson zaczął się wściekać, lecz widząc wokół siebie nieprzyjazne twarze, zdusił wyzwiska zamieniając je na ciche pogwizdywanie i odszedł do swojej kajuty. Ulberson był typem człowieka, który uważał się za „gwiazdę”, co nie budziło większego szacunku do niego w oczach starego, twardego kapitana *Thubana*. Ideałem starego Yphona była praca zespołowa. Na jego statkach obowiązywało hasło „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”. W jego systemie dowodzenia nie było miejsca dla solowych graczy.

ROZDZIAŁ II

MGIEŁKA ZAPOMNIENIA

Nadszedł kolejny dzień, w którym kapitan Yphon zasiadł w fotelu głównego pilota i spoglądał przed siebie ze ściągniętą twarzą i błyskiem niepokoju w oczach. Tym razem ekrany były opuszczone, a porty widokowe odsłonięte. Przed nami rozciągała się niezrównanie piękna aksamitna czerń kosmicznej próżni z jej niezliczonymi miliardami iskrzących się punkcików światła. Daleko po lewej stronie, widać było trzy mętne plamy – mgławice – wspaniale zabarwione na czerwono, zielono i żółto, jedna z nich wypełniona była słabo świecącymi kulami, w miejscach gdzie kondensujące się gazy tworzyły nowe ogniste słońca.

Jednak te kolorowe mgławice, dosyć atrakcyjne dla oczu turystów, nie były tym, co przykuwało uwagę kapitana. Niepokoiła go czarna plama tuż przed nami, dziura w niebie, która wciąż rosła, pożerając gwiazdy w miarę jak się rozprzestrzeniała. Nie było widać w niej żadnych kolorów, zupełnie. Miesiąc wcześniej zajmowała tylko kilka stopni szerokości, teraz miała sześćdziesiąt – i przez cały czas rosła. Jej brzegi wyznaczał nieregularny krąg czerwonawych gwiazd, niknących jedna po drugiej w miarę zbliżania się *Thubana*. Yphon obserwował przesłanianie tych gwiazd przez wiele dni. Zawsze najpierw przez chwilę mrugały, potem czerwieniały, by w końcu zniknąć i stać się nicością, gdy wielkie mgławice kuliste pęczniały przed nimi.

Thuban był kompletnie niesterowalny – tego faktu nie dało się ukryć. Rozpędzony tytanicznym pchnięciem gasnącego Kinetogenu, mknął przed siebie z ogromną prędkością i miał tak lecieć przez wieczność, lub do chwili gdy jakieś stojące mu na drodze słońce nie chwyci go w uścisk swych grawitacyjnych macek i nie wciągnie w piekło ognistego zniszczenia lub nie uwięzi na niekończącej się orbicie. Nie było możliwości ominięcia tego czającego się przed nimi mroku, bez względu na jego naturę. Musieli się w niego zanurzyć i stawić czoła temu, co tam ich czekało.

Z pomieszczenia sterówki, zza pleców, do uszu Yphona dolatywał szmer czytającego głosu. Czytającym był Daxon, a książka, którą trzymał w ręku, był to tom „Pilotażu Kosmicznego i Astrogacji” dla tego kwadrantu półkuli niebieskiej. Rozdział, który czytał, dotyczył domniemanej natury znajdującej się przed nami ciemnej mgławicy, i zestawiony był on na podstawie raportów poprzednich podróżników. Elgar, Ronny i Ulberson siedzieli w różnych postawach wokół stołu do map, słuchając.

Gdy Daxon dotarł do końca, rzucił książkę na stół.

— To niełatwe do przyjęcia – ale teraz przynajmniej wiemy już, z czym mamy do czynienia — wzruszył ramionami. — Żadnego statku, który wszedł głęboko do wnętrza tej mgławicy, nigdy więcej nie już nie widziano. Kilka przeszło blisko jej krawędzi i wyszło po drugiej stronie, to prawda, ale lecący w nich ludzie nie potrafili niczego o niej powiedzieć – nie byli w stanie sobie przypomnieć – niczego, ani samego wejścia w jej obszar, ani jak było w jej wnętrzu.

— Więc udali się do domu i napisali o tym relacje — prychnął Ulberson, z nutą charakterystycznego dla niego, pogardliwego humoru w głosie.

Daxon, zdenerwowany, rzucił mu ostre spojrzenie, ale dla dobra pozostałych odpowiedział.

— Tak, a dlaczego by nie? — warknął. — Cały materiał był w ich dziennikach, wpisy opisujące kiedy zauważyli chmurę, ich zbliżanie się do niej, moment wejścia – wszystko na ten temat. Chronometry i inne przyrządy przez cały czas wszystko zapisywały i na statkach były ich karty, zapełnione. Zawiódł tylko ludzki umysł. Pamiętali, niektórzy z nich, że zobaczyli chmurę daleko przed sobą, a potem, jakby w mgnieniu oka, była ona tuż za nimi. Kiedy przekonali się o prawdziwym upływie czasu i zobaczyli swoje własne zapisy w dziennikach, zdali sobie sprawę z tego, że świadomość spłatała im jakiegoś figla. Musieli robić wszystko, co zwykle robili, a jednak nic z tego nie zapisało się im w pamięci. To było coś podobnego do czasu spędzonego w narkozie, jak sądzę.

— A więc dlatego nazwano ją Amnezją? — zauważył dr Elgar, z kpiącą wesołością. — Mgła Zapomnienia – brzmiałoby bardziej poetycko, co?

— Dla ludzi o odpowiedniego rodzaju umyśle — przyznał Daxon, z lekkim uśmiechem. — Jednak nie zapominaj, że miejsce ku któremu zmierzamy znajduje się blisko centrum tego czegoś, a nie krawędzi, i będziemy mieli do pokonania drogę przez wnętrze mgławicy mniej więcej odpowiadającą szerokości naszego układu słonecznego. Jeśli jej muśnięcie wymazuje wszystko, czego człowiek dowiedział się przez miesiące, możemy mieć dosyć dużą pustkę w głowach, kiedy przejdziemy na drugą stronę, jeśli w ogóle przejdziemy.

— To musi być jakaś właściwość tego gazu — spekulował Elgar, bardziej poważnie — lub…

— Albo promieniowanie — wtrącił kapitan, wciąż wpatrując się przed siebie. — Panie Daxon! Proszę kazać zamknąć wszystkie zewnętrzne otwory osłonami przeciw promieniowaniu i przygotować zapasowy peryskop. Nie podoba mi się to co czeka przed nami.

Podczas gdy załoga gorączkowo krzątała się aby wykonać rozkaz, dr Elgar podniósł książkę odrzuconą na bok przez Daxona. Przekartkował ją do rozdziału o Amnezji i przeczytał go sam, z przypisami i wszystkim innym. Wśród zaginionych statków były *Night Dragon* i *Star Dust*, przewożące po ponad tysiącu pasażerów – dwa transportowce Rangimona wypełnione całymi rodzinami zmierzającymi na Tellunovą w Hydrze. Następnie, kilkadziesiąt lat później, około 2306 roku, Sigrey zabrał do wnętrza, swojego *Procyona* z ekspedycją ratunkową, ale nie udało mu się wrócić. W czasie kolejnych stuleci w okolicy zniknęło kilka małych frachtowców, o których sądzono, że zostały pochłonięte przez mgławicę.

Ulberson, zirytowany słabo skrywaną pogardą tych twardych ludzi kosmosu, czuł, że musi wykonać jakiś gest, aby przywrócić swój prestiż.

— Mamy trochę szczęścia, powiedziałbym. Jeśli robi się taką tajemnicę z małego obłoku czarnego gazu, to może warto mu się przyjrzeć. Skoro już tu się znaleźliśmy, to równie dobrze mogę rozwiązać dla nich tę całą zagadkę. — Ziewnął teatralnie, jakby samo dotarcie do mgławicy załatwiało całą sprawę.

— Och, bez wątpienia — odparł Elgar przyjaźnie i mrugnął okiem do Daxona, który gniewnie się odwrócił na słowa Ulbersona, — jeśli zdoła pan sobie z tym poradzić. Jeśli o mnie chodzi, i mówię to jako specjalista od nauk medycznych, przewiduję pewne trudności. Odkrywcy mogą być ponad takimi rozważaniami, ale właśnie sobie pomyślałem, jak bardzo byłbym zdumiony, gdybym, powiedzmy, zaobserwował efekty jakiegoś leku, który podałem pacjentowi, zapomniawszy przedtem, że go podałem i po co. Tego rodzaju rzeczy, mogą sprawić, iż praktyka lekarska stanie się bardzo niepewna. Z biegiem czasu, śmiem twierdzić, że byłbym w stanie wypracować jakieś techniki w tym kierunku, ale w tej chwili jak dla mnie, wygląda na to, że próba życia z niedziałającą pamięcią, jest równie mglistą koncepcją, co sama ta chmura dymu.

Ulberson popatrzył na niego gniewnie, niejasno podejrzewając, że Elgar robi sobie z niego jaja, ale twarz lekarza stanowiła obraz niewinnej powagi. Potem, gdy zaczęło do niego docierać pełne znaczenie tego, co zostało właśnie powiedziane, pewność siebie Ulbersona nieco opadła. W swoim życiu rzucał się już w wir niebezpieczeństw związanych z zimnem na słabo oświetlonych planetach i walczył z ich dziwaczną fauną, ale nigdy pod wpływem amnezji. To, co Elgar zdawał się sugerować, to nie zapomnienie o rzeczach dawno minionych, ale o rzeczach będących w toku – zdarzeniach sprzed kilku minut – sprzed chwili!

Ulberson wykręcił się niespokojnie w swoim fotelu. Implikacje słów lekarza nie były przyjemne. Mogłoby to oznaczać, że nie byłby w stanie zachować pamięci o tym, co zaczął robić, że mógłby błądzić bez celu, jak imbecyl, obserwując rzeczy, lecz nie potrafiąc powiązać ich z przyczynami, a następnie zapominając o czynionych spostrzeżeniach w samym momencie ich dokonywania. Byłaby to straszna sytuacja – nie do pomyślenia – nie do zniesienia.

Kapitan Yphon, słysząc co się dzieje, zachichotał dziko w myślach. „Wynająłeś nas, ty zakichany pyszałku — brzmiała jego ponura myśl — abyśmy zabrali cię w Wielkie Nieznane. Cóż, na Boga, dostaniesz dokładnie to, za co zapłaciłeś.”

ROZDZIAŁ III

OKO KAPITANA

W czasie kolejnego tygodnia, całe rozciągające się przed nimi niebo stopniowo zostało pozbawione blasku gwiazd. Nieposiadająca żadnej, najmniejszej nawet zdolności odbijania światła, wielka mgławica wydawała się nie być podobna do gazowych kul, jakie znali wcześniej. Wyglądała ona raczej jak okrągła pustka na niebie, otoczona przez stale poszerzający się pierścień czerwonawych gwiazd, które świeciły niepewnie na jej zamglonym obwodzie, przez krótkie chwile przed swym ostatecznym zniknięciem.

Daxon utrzymywał baczną służbę przy tablicy przyrządów. Znów zaczynały one rejestrować wpływy grawitacyjne, choć słabe. Wskaźnik fotometru pełznął bardzo powoli – a jednak na detektory radiacji padało promieniowanie o straszliwym natężeniu – i to jakie promieniowanie! Jeśli rzeczywiście wypadało ono poza zakres działania sorterów, musiało mieć kształty fal i częstotliwości niespotykane – teoretycznie nieistniejące, niemożliwe.

Doktor Elgar również stał tam razem z nim, żywo zainteresowany. Niezależnie od tego, jakie były emanacje atramentowej mgły, chciał je zobaczyć i zmierzyć. Od czasu gdy zagłębił się w doniesieniach na temat Amnezji, czujnie wypatrywał wszelkich objawów zapominania, ale jak dotąd na *Thubanie* nie pojawiły się żadne dowody na postępującą amnezję. Wszyscy zostali poinstruowani, aby prowadzić szczegółowe dzienniki i każdego dnia losowo wybierano z nich fragmenty oraz odczytywano je ich autorom. Jeśli wydarzyły się przypadki amnezji, to były one tak subtelne, że ani ofiara, ani lekarz nie byli w stanie ich wykryć, choć Elgar zdawał sobie sprawę, że ta pozorna zdolność do pamiętania, mogła okazać się złudna. Ale przecież, mogło być również i tak, że skoro zostali uprzedzeni, a statek został szczelnie zabezpieczony przed gazami i był tak dobrze ekranowany, że żadne promieniowanie, chyba że jakiegoś zupełnie nieznanego, przeszywającego kadłub rodzaju, nie mogło wedrzeć się do jego wnętrza, to mieli szansę przedrzeć się przez chmurę nie ponosząc żadnej szkody.

— Obecnie musimy być dobrze w jej wnętrzu — oznajmił kapitan, gdy zobaczył wskaźniki przyrządów, — rzucę okiem i zobaczę, jak gęsta jest naprawdę ta mgławica.

Odłożył na bok okulary i chwycił za prowadnicę peryskopu, uważnie obserwowany przez doktora Elgara. Jeśli niebezpieczeństwo tkwiło w promieniowaniu, mogłoby ono przedostać się przez okular peryskopu, i to

wzmocnione przez niego do poziomu intensywności niosącego ze sobą zagrożenie.

Kapitan Yphon skierował swój wzrok najpierw w stronę rufy, gdzie mgławica była najcieńsza. Jeśli da się jeszcze dostrzec gwiazdy, to właśnie tam.

— Wszędzie jest czarno — stwierdził rzeczowym tonem i zaczął przesuwać okular peryskopu ku przodowi, omiatając przy tym wzrokiem całe otoczenie statku. — Nigdzie nie widać nawet błysku — dodał; w czasie gdy mrużył prawe oko, lewe miał również przymknięte — z wyjątkiem dziwnej zielonkawej poświaty na kadłubie – słabiutkiej, jakby wytworzonej przez świetliki. Widzę ją tylko na odcinku jakichś dziesięciu jardów, potem ona zanika.

Kiedy mówił to, na powierzchni jego spoglądającej w okular peryskopu gałki ocznej, zaczął tańczyć maleńki błysk jasnego fioletowego światła. Zdumiony dr Elgar zobaczył, jak rozjaśnia się on, a następnie rozbłyskuje na podobieństwo płomienia – wyglądało to, jakby z oka kapitana do peryskopu przeskakiwały pierzaste snopy oślepiającego fioletowego światła, na podobieństwo wyładowań łuku elektrycznego.

— Nadal wszędzie ciemno — mówił kapitan tym samym zwykłym tonem, kręcąc peryskopem z kierunku prosto do przodu, wzdłuż lewej burty.

Elgar położył powstrzymującym dłoń gestem na ramieniu Daxona, który rzucił się naprzód pod wpływem impulsu, by odciągnąć kapitana od peryskopu.

— Musimy wiedzieć co się dzieje — szepnął. — Wydaje się, że to go nie boli – on nawet nie podejrzewa istnienia tego czegoś.

Kapitan Yphon zwolnił peryskop i wziął swoje okulary. Założył je na nos i nagle uniósł z powrotem rękę, aby je poprawić, po czym z niesmakiem je zerwał.

— Co, do diabła — warknął, — prawa soczewka zrobiła się kompletnie nieprzejrzysta – nic przez nią nie widzę.

— Proszę pozwolić mi obejrzeć pańskie oko — delikatnie polecił Elgar, — ponieważ pańska soczewka jest w absolutnym porządku.

Kapitan odwrócił się całkowicie w jego stronę, na jego zwykle opanowanej twarzy widać było zdumienie, na przemian otwierał i zamykał oczy i rozglądał się oszołomiony po pomieszczeniu sterówki.

Elgar powstrzymał go ręką i zerknął w jego twarz. Lewe oko było normalne, matowe, wyblakłe, pożółkłe od wieku. Ale to drugie! Prawe oko świeciło miękkim ciepłem młodości. Jego rogówka błyszczała jędrną, gładką bielą, jak u kogoś bardzo młodego; krystaliczna czysta soczewka była idealnie przejrzysta; tęczówka wspaniale zabarwiona. Elgar pospiesznie zbadał oko kapitana pod kątem jego właściwości wzrokowych. Były one doskonałe – odpowiadały standardom dla młodzieńca w wieku dwudziestu lat!

— Panie kapitanie — rzucił szorstko, bo czuł na sobie ciężar odpowiedzialności. — Proszę jeszcze raz popatrzeć przez peryskop, ale tym razem lewym okiem.

— Peryskop? — powtórzył nieprzytomnym tonem kapitan. — Tak, tak – obecnie musimy być już dobrze we wnętrzu mgławicy. Muszę rozejrzeć się dokoła i zobaczyć, jak bardzo jest ona gęsta.

Elgar i Daxon wymienili znaczące spojrzenia. Yphon zapomniał już, że był wcześniej przy peryskopie, a przecież spoglądał przez niego przez pełne siedem minut. Amnezja wywoływana przez mgławicę nie była więc mitem, a te płomienie zwrotne zdawały się być kanałem jej infekcji.

Znów kapitan przyłożył oko do peryskopu i ponownie pojawiła się ta dziwna gra fioletowego światła na jego gałce ocznej. Daxon i Elgar stali blisko po obu stronach i obserwowali tańczące płomyki. Wyglądały one nierealnie, niematerialnie, jak błyski diamentu poruszanego w silnym świetle. Choć pokaz ten wyglądał bardzo spektakularnie, Yphon wydawał się go nie zauważać. Postępował dalej tak samo jak przedtem, od czasu do czasu rzucając spokojne uwagi na temat mroku panującego na zewnątrz statku. Kiedy minęło siedem minut, Elgar chwycił go za ramiona i odciągnął od okularu.

— Co się dzieje? Dlaczego mi pan przerwał, panie doktorze? — zaczął dopytywać się kapitan. — Komuś coś się stało?

Spod kudłatych, białych brwi, w doktora wpatrywało się poważnie dwoje żywych, przeszywających oczu, oczu jasno myślącego energicznego nastolatka, osadzonych w pomarszczonych, workowatych powiekach starego, sędziwego mężczyzny. W tej niespójności było coś niemal przerażającego. Wcześniejsza ocena Elgara została potwierdzona praktycznie, ale podstawy tej tajemniczej odmiany były równie nieuchwytne jak wcześniej.

— Jak pan widzi? — zapytał Elgar, drżącym głosem.

Kapitan przetarł twarz dłonią, rozejrzał się wokół siebie, po czym podniósł tablice matematyczne z wartościami funkcji sinus i przyjrzał się ich drobnej pięciopunktowej czcionce.

— No cóż, cóż, doskonale… lepiej niż od wielu lat… lepiej niż pamiętam, że kiedykolwiek widziałem.

Ulga dr Elgara była ogromna, ale dostrzegał potencjalne niebezpieczeństwo.

— Panie kapitanie — nalegał, — nie wolno więcej używać peryskopu panu, ani nikomu innemu, chyba że przez silny filtr i pod moim nadzorem. Promieniowane Amnezji posiada efekt wywoływania luk w pamięci i najwyraźniej także odmładzania. Przesadzanie z tym, może nie być rozsądne.

Z pewnym trudem obaj młodsi oficerowie przekonali Yphona o jego luce w pamięci. Dzięki dokładnemu wywiadowi ustalili, że jeśli chodzi o poczucie czasu, stracił prawie godzinę. Nie tylko że nie pamiętał, co się wydarzyło kiedy był przy peryskopie, ale jakby w tym samym czasie jego wcześniejsze wspomnienia zaczęły się rozplątywać, rozwijać i zanikać.

Po tym wydarzeniu, peryskopu zaczęto używać bardzo oszczędnie, a następnie z filtrami. Nie było potrzeby jego wykorzystywania, bo na

zewnątrz nie było widać nic, poza upiorną ognistą poświatą kadłuba, majaczącą w gęstych oparach mgły. Raz Elgar nakłonił starego Angusa, stewarda, do wystawienia na krótki czas obu oczu, na działanie niefiltrowanych promieni, ale poza tym nie zaobserwowano już zjawiska płomieni tańczących na oczach. Angus, który miał tyle samo lat co kapitan, zaczynał chorować na zaćmę i podobnie jak w przypadku kapitana, kilkuminutowe naświetlanie dało wyraźnie korzystne rezultaty. I podobnie jak w przypadku kapitana, Angusowi trzeba było opowiedzieć o tym doświadczeniu oraz o wszystkim, co je bezpośrednio poprzedzało.

Elgar zadumał się nad niezwykłą mocą terapeutyczną dziwnego promieniowania, równie skutecznie radzącego sobie z amnezją jak i odmładzaniem. Musiał tu istnieć jakiś związek, nie wątpił. Zaczynał już formułować pewną teorię, lecz teoria ta, choć logiczna, była sprzeczna z całym jego doświadczeniem.

Wiedział, że pod wpływem bodźców świetlnych żywe komórki czasami się zmieniają, że światło wywołuje w nich reakcje chemiczne – a z drugiej strony, tak jak w przypadku ogników czy też fosforyzujących organizmów morskich, komórki biologiczne czasami wytwarzają światło. Jednak zgodnie z całym jego doświadczeniem, komórki ludzkiego ciała nie potrafią emitować światła, zaś zmiany wywoływane przez metabolizm dokonywały się niezmiennie w kierunku większej specjalizacji, od prostoty do złożoności - innymi słowy, w kierunku starzenia się – oraz, że proces ten był nieodwracalny. W normalnych warunkach, w miarę jak komórki stawały się coraz bardziej wyspecjalizowane, kończyło się to utratą zdolności przystosowywania się, starością i w końcu śmiercią. Gerontolodzy, jak wiedział, potrafili czasem opóźnić te zmiany, ale nigdy nie byli w stanie ich zatrzymać, nie mówiąc już o ich odwróceniu.

A jednak właśnie widział, jak to się stało – i to dwa razy. I chociaż światło zdawało się płynąć z wnętrza oczu, to najwyraźniej bodziec pochodził z otaczającego ich gazu mgławicowego, z jego dziwnym, niewidzialnym promieniowaniem. Czy to możliwe, że ta czarna mgła miała jakieś wyjątkowe zdolności refrakcyjne, które zmieniały światło, tak kompletnie przez nie pochłaniane, w jakieś odwrócone, a nawet negatywne formy? Czy jej moc absorbcji była tak wielka, że sięgała, że tak to określmy, poza nią i wciągnęła światło do siebie?

A jeśli tak, to czy żywe komórki, pod przymusem oddania pochłoniętego wcześniej światła, dostosowywały swoją strukturę do prostszej formy, jaką posiadały wcześniej? Jeśli tak, to struktury te mogłyby wydawać się młodsze. Być może to właśnie uproszczenie kory mózgowej powodowało zanikanie przechowywanych w niej wspomnień. Nie istniały żadne precedensy w obrębie fizjologii czy matematyki, dla stawiania tego rodzaju założeń, ale nie istniały też precedensy dla zadziwiającego odmłodzenia oczu, którego dwukrotnie był świadkiem.

Te inne statki zanurzyły się w mgławicę, nie spodziewając się niczego, a więc kompletnie nieprzygotowane. Kiedy już znalazły się w objęciach

amnezyjnych promieni, były bezradne, ponieważ ich załogi nie były w stanie rozumnie myśleć, gdyż rozumowanie jest procesem kumulatywnym. A czy w miarę jak zapominali, odmładzali się? Przy nieograniczonej presji w tym zakresie, jak daleko mogło to się posunąć?

Doktor Elgar nie widział jednak sposobu, aby zbliżyć się do odpowiedzi na te pytania, bez podejmowania nieuzasadnionego ryzyka. Przynajmniej jak do tej pory, ludzie na *Thubanie* wydawali się być skutecznie izolowani od świata zewnętrznego, a zapraszanie do wnętrza statku sił, które były tak nieprzewidywalne w swym działaniu, byłoby nierozważne.

ROZDZIAŁ IV

PLANETA!

Przez wiele miesięcy przedzierali się przez spowitą mrokiem przestrzeń, szacując postęp swego lotu na podstawie zliczania wcześniej pokonanych kursów i odległości. Yphon i Daxon obliczyli ich najbardziej prawdopodobną trasę. Nawet po uwzględnieniu pewnego spowolnienia spowodowanego tarciem otaczającego statek gazu, istniały przesłanki, że mogą mieć wystarczający pęd, aby uciec z jądra mgławicy, gdyż ich trajektoria przebiegała w odległości około jednej trzeciej odcinka między nim a obrzeżami. Można było zaobserwować stały wzrost odczytów grawitacji, ale jej całkowita wykazywana siła nie była alarmująca. Być może w końcu uda im się całkowicie uciec z obłoku i wyłonić się ponownie w czystej próżni na zewnątrz.

Nie były to jednak nadzieje tak krzepiące, jak mogłoby to być w innych okolicznościach, gdyż Ronny donosił, że mimo odzyskiwania, tlenu pozostało im mniej niż na rok, a stary Angus zaczął już racjonować jedzenie. Za Amnezją rozciągało się wiele parseków pustej przestrzeni. Ucieczka do niej oznaczała tylko pustą korzyść śmierci na zewnątrz w przejrzystej czystości międzygwiezdnej próżni, a nie w głębinach brudnej czarnej mgły.

Od czasu do czasu Daxon przeczesywał peryskopem otaczające ich ciemności. Na zewnątrz statku niezmiennie panowała gęsta noc, lecz pewnego dnia poczuł dreszcz zaskoczenia, gdy w mroku zauważył wyraźne światło. Dużym łukiem po prawej burcie, można było dostrzec mocno rozmytą, lecz wyraźnie wyczuwalną jaskrawą, karmazynową poświatę. Z godziny na godzinę czerwień ta zwiększała swą intensywność i nabierała coraz jaśniejszego odcienia, aż z czasem zaczęło to wyglądać tak, jakby cała ta część wszechświata po prawej burcie stała w ogromnej pożodze, na wpół przytłumionej pod kłębami dymu. Potem czarne mgły zdawały się rozpływać, tak jak podnosi się ziemska mgła, a początkowa nieokreślona poświata zmieniła się w dobrze widoczną okrągłą plamę intensywnego pomarańczowego światła, które po chwili ujawniło swe źródło – słońce! Tutaj, w środku kulistej mgławicy, znajdowało się ogniście żółte słońce, niespodziewanie wyłaniające się z wnętrza nieprzejrzystej otoczki pochłaniających światło gazów.

Po raz kolejny przyrządy zarejestrowały normalne, pozytywne światło, a spektrum wewnętrznej gwiazdy okazało się być podobne do widma Słońca, z wyjątkiem tego, że było nieco bogatsze w paśmie fioletu. Szybkie testy wykazały, że nie ma potrzeby dalszego stosowania

skomplikowanego systemu ekranów. Dziwaczne właściwości układu mgławicy najwyraźniej występowały tylko w jej zewnętrznej otoczce.

Jednak chociaż nie byli już otoczeni mgłą i znajdowali się w obecności normalnego słońca, ich otoczenie było nie mniej niesamowite. Zamiast czarnego tła kosmosu, usianego miriadami błyszczących gwiazd i świecących mgławic, wszystko dookoła zalewała matowa, gniewna, przydymiona czerwień. Bezgwiezdne niebo wnętrza Amnezji przypominało wnętrze jakiegoś kosmicznego paleniska. Albo dlatego, że wewnętrznym warstwom mgławicy brakowało tak silnych zdolności absorpcyjnych, jakimi cechowały się te zewnętrzne, albo dlatego że były one przesycone światłem z powodu bliskości słońca, odbijały one ponuro rudawy blask, który nadawał całemu temu miejscu wygląd piekła.

Daxon zastanawiając się nad występowaniem takiej otwartej przestrzeni w sercu mgławicy, gdyż przypuszczał, że jej gęstość będzie rosła w miarę zbliżania się do jądra, zapytał o to Kapitana.

— Młody człowieku — odparł kapitan, zwracając na pierwszego oficera swe dziwnie młodzieńcze, rozpłomienione oczy, — kiedy będzie miał pan tyle lat co ja i przewędruje pan tyle szlaków w południowych pustkowiach kosmosu, zacznie pan akceptować rzeczy takimi, jakie są. Ale skoro chce pan wyjaśnień, zapraszam do wysłuchania moich domysłów. Przypuszczalnie słońce stanowi kondensację materiału, który wcześniej zajmował tę pustą przestrzeń. Po tym jak stało się tak gęste, że zostało zmuszone do promieniowania, ciśnienie jego światła naturalnie zmusiło zewnętrzne gazy do wycofania. Gazy te, schwytane zostały pomiędzy dwie siły – ciśnienie światła wypychające je na zewnątrz i grawitację ściągającą je do środka – musiały więc zostać ściśnięte, jak widzieliśmy, w coś w rodzaju skorupy, podobnej do skorupy orzecha włoskiego, jeśli można mówić o rzeczach tak cienkich w kategoriach trwałości.

Stary człowiek chrząknął, i w jego chłopięcych oczach pojawiła się leciutka sugestia mrugnięcia powieką.

— Tym niemniej jednak, nigdy przedtem nie byłem we wnętrzu kulistej mgławicy — wszystkie one mogą być puste, z tego co wiem.

Daxon musiał przyjąć to prowizoryczne wyjaśnienie. Sam nie potrafił wymyślić niczego lepszego. W każdym bądź razie, byli tam gdzie byli i mieli koło siebie słońce, którym trzeba się było zająć. Zaczął mierzyć jego pozorną średnicę, najpierw wynosiła ona dwadzieścia minut, potem w miarę jak się do niego zbliżali, coraz więcej: czterdzieści, pięćdziesiąt. W końcu nadszedł dzień, kiedy średnica zaczęła maleć. Minęli peryhelium, ale jaki był kształt ich trajektorii, nie potrafił tego określić z żadną najmniejszą nawet pewnością. Jeśli była ona hiperboliczna, to teraz, jeśli w ogóle kiedykolwiek, pojawiała się szansa na ich ucieczkę.

Dr Elgar miał swoje własne powody, by odczuć ulgę z powodu zwiększenia dystansu między nimi a energetycznym słońcem. Ich apetyty stały się ogromne, zwierzęcy duch wzrósł, ale wraz z nim pojawiły się oznaki szybkiego starzenia, o czym świadczyło siwienie na skroniach nawet młodszych członków załogi statku. Jedynie dzięki postawieniu ekranów przeciwpromiennych zdołał utrzymać tempo ich metabolizmu na

normalnym poziomie. Amnezja zdawała się być regionem o przeciwstawnych skrajnościach.

Krótko po minięciu peryhelium, Daxon sprawdził peryskopem widok po lewej burcie, skanując lśniące ściany mgławicowej otoczki. Szukał jakiegoś możliwego do zidentyfikowania miejsca, które mógłby wykorzystać jako punkt odniesienia dla określenia wielkości odchylenia ich toru lotu, przez wewnętrzne słońce. Nagle wszystkich obecnych w pomieszczeniu sterówki zelektryzował jego okrzyk:

— Planeta-ho!

Z przodu, nieco na lewo, znajdował się jasny punkt światła, przypominający wyglądem Jowisza widzianego z Ziemi. Oficerowie i marynarze stłoczyli się przy portach dziobowych, aby przyjrzeć się odkryciu.

Po kilku godzinach Daxon mógł już ogłosić, że kąt między planetą a słońcem stale się powiększa – zmierzała ona ku swemu aphelium. Gdyby możliwe było wykonanie choćby niewielkich manewrów, *Thuban* mógłby do niej dotrzeć. Yphon przyszedł i popatrzył na te obliczenia. Przyjrzał się nowo odkrytej planecie i groźnie zmierzył wzrokiem gorące małe słońce i mgliste tło, otaczające ich ze wszystkich stron. Przypomniał sobie o coraz gorszych dostawach tlenu i malejących zapasach jedzenia w spiżarni. Posłał po Ronny'ego.

— To w rym miejscu wypróbujemy pańskie prowizoryczne urządzenia pomocnicze, Ronny. Proszę je podłączyć, i przenieść zasilanie do tablicy tutaj. Mam zamiar wylądować na tej planecie, jeśli nam się uda. Powinniśmy być w stanie trochę zwolnić, a tamtejsza atmosfera może zrobić resztę – jeśli jest tam jakakolwiek atmosfera.

Nie musiał mówić, że jeśli atmosfery nie było, i tak nie miało to znaczenia. Wszyscy rozumieli sytuację, że był to przypadek chwytania się brzytwy.

Dzięki hamującemu działaniu milionów mil gazu, które przebyli, oraz umiejętnemu przebudowaniu przez Ronny'ego ocalałych na statku maszyn, prędkość *Thubana* została zredukowana do rozsądnych rozmiarów, zanim znaleźli się w pozycji do lądowania na planecie. Yphon okrążył trzykrotnie owiniętą chmurami kulę, powoli zacieśniając spiralę i szybko przeszybował przez gęstą stratosferę, hamując przy tym przez cały czas.

Elgar szybko pobierał kolejne próbki przejrzystych gazów na zewnątrz statku. Najpierw stwierdził, że składa się ona w równych częściach z mieszaniny wodoru i azotu, ale nieco później pojawiły się w niej ślady tlenu. Kiedy zeszli do poziomu wysokich cirrusów, udział tlenu wzrósł, a wodór zniknął. Jedno z ich zmartwień można było odłożyć na bok.

Planeta nie tylko posiadała atmosferę, ale również taką, która blisko przypominała powietrze. To była przystań. Mogli zejść na dół i wylądować.

ROZDZIAŁ V

ŚWIAT MATUZALEMÓW

Dopiero gdy znaleźli się poniżej poziomu najwyższych chmur, mleczna, fioletowa mgła pod nimi rozrzedziła się na tyle, że mogli dostrzec szczegóły terenu. W dole widać było pokrywę innych chmur, puszystych cumulusów, a po lewej stronie wystawały przez nie jak skały morskiej rafy szczyty rozległego pasma górskiego. Daleko z przodu, Przebijając przez szczeliny w niższych piętrach chmur, widoczny był znajomy błękit morza, choć zabarwiony lekko purpurą.

Gdy zbliżyli się do ziemi, mogli dostrzec rozległe połacie roślinności, w większości brązowej i żółtej, co wskazywało na jesień. Załoga *Thubana* patrząc na planetę, która tak bardzo przypominała ich ojczyznę, poczuła tęsknotę za domem. Nostalgię potęgowały jeszcze pierwsze widoki czegoś, co niewątpliwie było miasteczkiem – za nim rozciągało się kolejne, a między nimi można było dostrzec nitki autostrad. Daleko z przodu jaśniały błyszczące kopuły wielkiego miasta, które dopiero co ujrzało światło dzienne, miasta leżącego nad brzegiem odnogi morskiej.

Przez kabiny *Thubana* przebiegło szalone podniecenie. Wszyscy pamiętali relację o zniknięciu w tym regionie dwóch statków Rangimona. Skoro *Thuban* znalazł drogę do tego miejsca, przez otaczającą je mgławicę, to dlaczego oni nie mieli? Być może żyjący w dole ludzie wywodzili się od tych poprzednich Ziemian. W miarę jak dyskusja zataczała coraz szersze kręgi, statek schodził w dół, nieustannie zwalniając.

Rozrastające się przed nimi miasto było dosyć rozległe i w całości pokryte systemem kryształowych kopuł, takich jak te używane na planetach pozbawionych powietrza, z tą różnicą, że tutejsze były różnokolorowo zabarwione: na zielono, bursztynowo, różowo, żółto i błękitno. Najodleglejsze ich skupiska wyglądały jak masa kolosalnych baniek mydlanych, opalizujących w południowym słońcu. Naprzeciwko, po drugiej stronie terenu, znajdowała się szeroka, pusta łacha ziemi – prawdopodobnie lądowisko, lecz z tej odległości nigdzie nie mogli dostrzec charakterystycznych hałd żużlu pojawiających się zwykle w okolicy portów dla statków rakietowych.

Jednak jeszcze wtedy, gdy spekulowali na temat przeznaczenia oczyszczonego terenu, zobaczyli mnóstwo, całe setki, małych srebrzystych obiektów wznoszących się stamtąd w powietrze. Przez potężne lornetki Yphon i Daxon obserwowali, jak wzbijają się one w górę, kołując i wirując niczym stado ptaków, a następnie cały ten rój skierował się w stronę nadlatującego *Thubana*. To były samoloty, prymitywne samoloty typu

aerodynamicznego, tak szeroko używanego na Ziemi w czasach przed rozwojem rakiet. Chwilowe obawy, że mogą one mieć wrogie zamiary, szybko zostały rozwiane, gdyż po kilku minutach zaczęły spokojnie omijać statek po obu stronach, a także nad i pod nim, zaś po minięciu go, robić nagłe pętle i zawracać, aby mu towarzyszyć.

Jeden z nich, najwyraźniej dowódca, przeleciał obok dziobowych portów widokowych, a w trakcie przelotu, przez burtę samolotu wychylił się bardzo stary człowiek i wykonał gest ręką, aby *Thuban* poleciał za nim. Zaskoczeni piloci statku kosmicznego dostrzegli tylko stalowo-błękitne oczy, lśniącą łysinę i płasko powiewające w huraganie strumienia powietrza śmigieł wąsiska; lecz staruszek, który ich obwołał, najwyraźniej chcąc się upewnić, że został dobrze zrozumiany, wystrzelił do przodu, zatoczył pionową pętlę i przeleciał ponownie koło nich, powtarzając swój sygnał wzywający do podążania za nim.

— Święte komety! — wykrzyknął Daxon, gdy drugi rzut oka potwierdził wrażenia odebrane w trakcie pierwszego, — chyba sam Ojciec Czas wyleciał nam na spotkanie!

Jednak kiedy Ziemianie uważniej popatrzyli przez porty widokowe na pędzące po ich bokach maszyny, każdy pilot, którego byli w stanie dostrzec, wyglądał bardzo podobnie, miał brodatą twarz, wyraźnie w podeszłym wieku, i był równie czcigodny jak patriarcha, który ich prowadził.

— **C**o za dziwna planeta! — powiedział zdumiony Daxon do Elgara, gdy przysiedli, pół godziny później, w otwartym porcie wejściowym spoczywającego na ziemi *Thubana*. — Ale jedno jest pewne – oni są ludźmi.

— Pewne jest jeszcze coś innego — dorzucił Elgar, sucho. — Patrząc na to jak wyglądają, oni są ludźmi, od cholernie długiego czasu. Znacznie dłużej niż ty, czy ja.

Thuban spoczywał w miejscu, gdzie go doprowadzono, pośrodku wielkiego lądowiska po przeciwległej stronie miasta. Kapitan Yphon otworzył port wejściowy i stał na zewnątrz, dziesięć kroków przed statkiem, czekając na przedstawicieli miejscowych władz. Samoloty, które ich eskortowały, lądowały dookoła w kolejnych falach, podskakując i odtaczając się na miejsca postojowe. Jednak w przeciwieństwie do zwyczajów panujących na większości przyjaznych planet, gdzie tubylcy pospiesznie otaczali nowoprzybyły statek, ci mieszkańcy Amnezji poruszali się z irytującą powolnością.

Obaj oficerowie obserwowali, jak wysiadają ze swoich samolotów. To, jak się okazało, była dla nich niezwykle pracochłonna operacja, a gdy już znaleźli się na ziemi, ich przemieszczanie się w kierunku czekającego *Thubana* było równie trudne. Jednak szli dalej, chwiejąc się i potykając, podpierając się na kulach lub laskach, aż w końcu zatrzymali się, tworząc poszarpany półokrąg zwrócony w stronę Yphona, jakby oczekując na kogoś, kto dopiero się pojawi. Niektórzy, zbyt wiekowi, by stać,

porozkładali małe przenośne stołki i usiedli na nich. To właśnie atmosfera niewiarygodnie zaawansowanego wieku, powszechna starość, wywołała okrzyk Daxona. Bezzębni, pomarszczeni, wielu z nich było żałośnie pochylonych, ten dziwnie jednorodny tłum tworzył niemal niewiarygodny obraz.

W tym momencie przez lądowisko przejechało kilka małych samochodów, które zatrzymały się z piskiem tuż za zgromadzonymi tetrykami z eskadry samolotów. W szeregach pilotów otworzyło się przejście, a po znacznym opóźnieniu z trudem został przez nie przepchnięty i doprowadzony do miejsca, w którym stał kapitan Yphon, wózek inwalidzki, zawierający jakiegoś wielce czcigodnego patriarchę, któremu towarzyszył niewielki zespół niewiele młodszych asystentów.

— To musi być dziadek ich wszystkich — szepnął z kompletnym brakiem szacunku Daxon, gdy starzec zakaszlał, boleśnie odchrząknął i zaczął mówić.

Wysokim, trzeszczącym głosem oznajmił:

— Cień-dobryna Athnacie.

Początkowe słowa nie były z początku zrozumiałe, ale gdy starzec kontynuował, jego słuchacze zauważyli, że język brzmiał dziwnie jak angielski – być może jakiś przestarzały dialekt angielskiego, ale jednak angielski. Bardzo szybko zauważyli, że jego pozornie zniekształcone dźwięki spowodowane były dziwnymi kadencjami, z jakimi były wygłaszane. Gdy tylko opanowano ten osobliwy rytm, zrozumienie było już łatwe.

— Dzień dobry na Athanacie — tak właśnie powiedział patriarcha, — Planecie Nieśmiertelnych. Z radością przyjmiemy szlachetnych Synów Ziemi, gdyż podobnie jak wy, nasi pionierzy również spadli z nieba.

Kontynuował dalej, że on sam nazywa się Tolva, jest kapitanem *Star Dusta*, oraz że z dumą może powiedzieć, iż urodził się na Ziemi. Przyszedł na świat w pobliżu New Denver, w cieniu „Paekpik". Zdumieni marynarze z *Thubana* wiedzieli z wcześniejszych studiów nad rejestrami, że niejaki kapitan Taliaferro dowodził jednym z transportów Rangimona, ale jednak było to dobre dwa tysiące lat temu.

— No cóż, wygląda na swoje lata — brzmiał komentarz Daxona.

Po zaoferowaniu obywatelstwa i swobód miasta nowym przybyszom, kapitan Tolva, o ile nim był, powiedział, że każdej parze ludzi z załogi statku zostanie przydzielony przewodnik i opiekun, oraz że natychmiast udadzą się do miasta, gdzie wszyscy będą mogli się rozgościć. Próba wtrącenia Yphona, który poprosił o informacje na temat dostępności mechaników i narzędzi do naprawy Kinetogenu, została oddalona jako nie na czasie.

— Nie teraz — brzmiała treść odpowiedzi, — jesteśmy w przeddzień Wielkich Świąt. W nadchodzącej Erze wszystkie sprawy zostaną załatwione.

Yphon, widząc, że z przedstawieniem ich problemów będzie musiał poczekać na lepszą chwilę, odpowiedział na powitanie równie godną mową, starając się wypowiadać swoje słowa najlepiej jak potrafił w tym samym dziwnym rytmie, którego używał gładki mówca. Po czym starzec

ukłonił się z uznaniem i trzasnął laską o ziemię. Na ten sygnał kilkunastu oczekujących stulatków wystąpiło do przodu i zasalutowało. To mieli być towarzysze i opiekunowie marynarzy z *Thubana*.

ROZDZIAŁ VI

ZA MŁODZI!

Kapitan Yphon, wybierając sobie do towarzystwa starego Angusa, odjechał w stronę miasta w oficjalnym samochodzie kapitana Tolvy, pozostawiając pozostałym możliwość dobrania się w pary według własnego uznania. Daxon i Elgar naturalnie wyruszyli we dwóch, nie pozostawiając Ronny'emu wyboru, jak tylko skojarzyć się z Ulbersonem. Para po parze, marynarze dobierali się razem i spotykali się ze swoimi opiekunami, szczerząc głupio zęby, gdy starsi zrzędliwi panowie rozkazywali im, jakby byli dziećmi.

Ten, któremu kazano zająć się Elgarem i Daxonem, był nieco bardziej dziarski niż reszta, szybko zaprowadził ich do jednego z małych samochodów, radząc sobie lepiej niż większość z towarzyszy, jeśli chodzi o poruszanie się, lecz jego miliony zmarszczek, zapadnięte policzki i sękate stawy jasno mówiły, że żył już długo, bardzo długo. Dwaj oficerowie wsiedli do samochodu, zauważając z rozbawieniem, że jego kierowca był, jeśli w ogóle można było to ocenić, o kilka dekad starszy od ich przewodnika.

— Posłuchaj, Sid, jeśli dziewczyny w tym mieście dorównują chłopakom — roześmiał się Elgar, — to będziesz musiał uznać tutejsze życie nocne za dosyć spokojne.

Możliwa odpowiedź Daxona została ucięta przez stęknięcie, gdy jego głowa walnęła o oparcie fotela. Kierowca uruchomił maszynę i ta rzuciła się do przodu jak ujeżdżany koń kowbojski. Popędzili przez lądowisko z zawrotną prędkością, zygzakując szaleńczo wśród dziesiątków innych podobnych samochodów, z których każdy ścigał się i walczył o pozycję, omijając zaparkowane samoloty ze zwinnością, która zadziwiłaby każdego kierowcę. W ciągu naprawdę bardzo niewielu minut wjechali na rampę prowadzącą podwyższoną groblą nad laguną oddzielającą ich od kryształowej kopuły miasta. Elgarowi mignęło przed oczyma, że w dole znajdował się chyba park, ale o tej porze roku jego trawniki i drzewa były jednolicie pożółkłe i posępne.

Daxon, wciśnięty w fotel, jedną ręką trzymał kapelusz na głowie, a drugą próbował odepchnąć chłoszczącą ich brodę przedpotopowego rajdowca. W pewnej chwili dostrzegł zaskoczone twarze Ronny'ego i Ulbersona, gdy ci przemknęli obok, wygrywając okrążenie w wyścigu bezzębnych szaleńców. Daxon próbował na nich zawołać, ale tamci byli za bardzo zajęci wczepianiem się we własne fotele, by to zauważyć.

— Fiuuu-fiuuu! — wrzasnął Elgar, gdy przelecieli przez wielki półokrągły otwór w pierwszej z wielkich kryształowych kopuł. — Te stare

mamuty są raczej kiepskie jeśli chodzi o chodzenie na własnych nogach, ale Jezu, jakiego dostają kopa, kiedy mają maszyny które mogą ich ponieść!

Kiedy już znaleźli się w mieście, antyczny kierowca zdjął trochę nogę z gazu, i dobrze że to zrobił, bo ulice zatłoczone były ludźmi, z których nikt nie był na tyle sprawny, aby poruszać się szybciej niż w tempie spacerowym. Podobnie jak ci na lądowisku, wszyscy byli niewątpliwie bardzo starzy. Wśród nich było wiele kobiet, równie wiekowych jak mężczyźni. Niektóre z nich były chudymi wiedźmami, inne ociężałymi grubaskami z licznymi podbródkami, a między nimi można było dostrzec każdą klasę pośrednią starej baby. Doktor Elgar patrzył na wszystkich mijanych z oszołomieniem i zdumieniem – były tu tysiące ludzi, wszyscy zniedołężniali. Zastanawiał się, dlaczego nie widać żadnych młodych ludzi, jak ta rasa jest rządzona.

Kopuła, pod którą obecnie się znajdowali, miała matowy odcień omszałej zieleni, nadając wszystkiemu, co się pod nią znajdowało, aspektu jakby podwodnego. Budynki zbudowane były z kamienia lub cegły i przypominały stare zdjęcia ziemskich miast sprzed kilku tysiącleci. Niektóre domy pozbawione były okien, stanowiąc wręcz kopie architektonicznych potworności wznoszonych w America City w okresie pierwszego stulecia istnienia klimatyzacji.

Ledwie przyzwyczaili się do oświetlenia zielonego, gdy przejechali przez kolejny łuk, prowadzący do dzielnicy miasta umieszczonej pod kopułą różaną, a po nim do trzeciej, gdzie światło miało charakter łagodnie bursztynowy. Ich samochód skręcił za róg i zatrzymał się przed budynkiem, na którym widniał napis czarnymi literami: „Zespół Utrzymania nr 3”.

— **N**a sprawdzenie i rejestrację — wykrakał lakonicznie ich przewodnik — kategoryzacja będzie później.

To ostatnie zdanie spowodowało, że obaj oficerowie wymienili między sobą pytające spojrzenia, ale wysiedli z samochodu i podążyli za swoim opiekunem do budynku. Przechodząc szerokim i dosyć mocno zatłoczonym korytarzem, przez otwarte drzwi dostrzegli kapitana Yphona. Protestował o coś gorąco do drobnego, przygarbionego staruszka w bieli, gestykulując przy tym w stronę swoich oczu. Zanim zdążyli się zorientować, o co toczy się spór, lub przykuć uwagę kapitana, zostali poprowadzeni dalej i dostarczeni do biura.

W czymś, co było najwyraźniej jakimś przedpokojem prowadzącym do dalszych biur, znaleźli ku swemu zdumieniu odgrodzone pomieszczenie wypełnione ławkami, na których siedziało mnóstwo starych mężczyzn i kobiet. Nad ich głowami widniał niesamowity napis: „Noworodki proszone są o zbieranie się tutaj”.

— Nie przejmujcie się tymi tutaj — powiedział ich przewodnik, dosyć pogardliwym tonem. — Jako urodzeni na Ziemi jesteście w uprzywilejowanej klasie. Pójdźcie za mną, jeśli łaska.

W wewnętrznym biurze stanęli przed ogromnym biurkiem, za którym siedział jowialny, gruby, stary Święty Mikołaj, pilnujący gigantycznej księgi. Przywitał ich z przymrużeniem oka i od razu zaczął zadawać pytania dotyczące nazwiska, daty i miejsca urodzenia, i tak dalej, zapisując wszystkie odpowiedzi. Kiedy stwierdził, że obaj kandydaci żyją mniej niż czterdzieści ziemskich lat, zadzwonił na swojego posłańca, kręcąc smutno głową.

— Obawiam się — oznajmił przepraszająco — że będziemy musieli odłożyć resztę, do czasu gdy przejdzie do was doktor. Sprowadźcie doktora Insuna — powiedział ostrzej do posłańca, wychudzonego starego dziadka, który bez wątpienia miał co najmniej ze sto dziesięć lat.

Po chwili do środka wszedł ten mały człowiek, którego widzieli, jak kłócił się z Yphonem. Miał na sobie białą koszulę typową dla swego zawodu, ale nie cechował go ten pogodny sposób bycia, jaki zachowuje wielu lekarzy. Jego postawa charakterystyczna była dla człowieka, który spodziewa się najgorszego po ludzkiej naturze i uważa, że to musi być jakieś oszustwo, jeśli nie znajdzie tego od razu.

Dość szybko, bo wydawało się, że ma mniej niepełnosprawności niż większość tutejszych, przystąpił do pobieżnego badania fizycznego obu oficerów z *Thubana*, zaciskając wargi i marszcząc się przez cały czas, oraz wygłaszając pełne żałości „Hmm" i „Taaak". Wreszcie zwrócił się do jowialnego urzędnika i oznajmił mocno urywanym głosem

— Nie takie dobre okazy jak ci dwaj inni, żeby zawracać głowę Najwyższemu Kapłanowi... — po czym ponownie popatrzył gniewnie na dwóch młodzieńców, jakby chciał się upewnić, że nie popełnia błędu. — Wszystko nie tak – wszystko. Ten, który nazywał się Angus był idealny, a ten drugi – kapitan Yphon – jeśli uda nam się naprawić jego oczy, będzie cennym dodatkiem do społeczności. Ale ci dwaj... — jego głos zamarł w żałobnej ciszy.

— Nie przeżyją Długiej Nocy, co? — dodał ten jowialny, z wyrazem współczucia. Następnie zasugerował: — Dlaczego nie umieścić ich pod wielką soczewką w nr 7?

Doktor pokręcił ponuro głową.

— Nie wystarczy czasu – zostało tylko czterdzieści cztery dni, wiesz przecież. Przykro mi, ale to beznadziejne przypadki. Równie dobrze można puścić ich wolno i pozwolić im żeby cieszyli się sobą, póki mogą. Niemożliwe aby zdołali przetrwać, są ledwie dojrzali, to tylko dzieci, są za młodzi!

I po tym tajemniczym oświadczeniu odnośnie do ich braku wartości, lekarz opuścił pokój z wrażeniem człowieka umywającego ręce od jakiejś złej sprawy.

— Stary Angus to doskonały okaz! — mruknął Daxon, spoglądając pustym wzrokiem na Elgara. — Za to my jesteśmy zbyt młodzi, żebyśmy byli w stanie przeżyć. Powiedz, co to w ogóle za pokręcona sytuacja?

Lecz doktor Elgar mocno się zamyślił. Podejrzewał, że nie była to taka zupełna bzdura, na jaką wyglądała.

A jednak - czymże innym niż bzdurą mogłoby to wszystko być?

ROZDZIAŁ VII

DWANAŚCIE SZKIELETÓW

W dniach mających miejsce bezpośrednio po wylądowaniu przybysze chłonęli otaczające ich widoki. Niewiele innego było do roboty, gdyż starzy ludzie byli bardzo stanowczy, że nie da się nic zrobić w sprawie naprawy *Thubana* podczas świąt, które miały religijny charakter.

Kapitan Yphon mieszkał z Prizdintem, jak dziwnie nazywano szefa magistratu, po starym tytule noszonym dawniej przez głównych rządzących Ameryką. Pozostali natomiast otrzymali kwatery w różnych dzielnicach miasta, a każdą parą przybyszów zaopiekowała się jakaś miejscowa rodzina.

Elgar i Daxon zostali zakwaterowani u niejakiego Pilpa Tutla (lub Philipa Tuthilla, ponieważ twierdził, że jest jednym z urodzonych na Ziemi) w przyjemnym domu w spokojnej dzielnicy, pod bladoróżową kopułą. Tutl i jego żona byli o wiele lepiej zachowani niż reszta mieszkańców Hygonu, jak nazywano miasto. Starsza para byli to bardzo rozważni gospodarze i po krótkiej pogawędce przy kolacji, zaprowadzili przybyszów do ich sypialni, a następnie pozostawili ich w spokoju.

Mieszkanie, ku uciesze Elgara, który był po trosze miłośnikiem antyku, przypominało mu pomieszczenia w skrzydle dwudziestego drugiego wieku w wielkim muzeum w America City. Miało taką samą wyłożoną kafelkami łazienkę wodną, elementarny telewizor w małej szafce i prymitywny system oświetlenia za pomocą małych świecących drucików zamkniętych w próżniowych szklanych pojemnikach.

— Całkiem wygodne, nawet jeśli trochę staroświeckie — skomentował Daxon, rozglądając się dookoła. — Z pewnością przebija przedzieranie się przez kosmiczną pustkę nie mając niczego do oddychania i jeszcze mniej do jedzenia.

Rano Tutl pochodził z nimi na tyle długo, by zapoznać ich z układem miasta, po czym pozostawił ich samym sobie. Widział, że będąc tak młodymi i aktywnymi ludźmi, znacznie szybciej zdołają sobie sami poradzić. Ponadto, jako nadzorca elektrowni, miał własną pracę do wykonania. Przeprosił za to że ich zostawia, tłumacząc się, iż musi się zająć przestawianiem maszyn w ramach przygotowań do Dnia Zamknięcia, który był już bardzo blisko. Z tą uwagą, nic nie znaczącą dla jego gości, odszedł.

Pomimo ogólnie kiepskiego stanu ludności, na ulicach działo się bardzo wiele. Gromady dość żwawych staruszków pracowały wszędzie, zasłaniając okna na parterze, stawiając ciężkie kraty wokół wyeksponowanych posągów i przykręcając szyldy do budynków.

Wyglądało to tak, jakby przygotowywano się do nadchodzącego huraganu. Najbardziej zauważalne oznakowania zawierały strzałki i słowa „Skład żywności", i były rozmieszczone wzdłuż całej ulicy w stosunkowo niewielkich odstępach.

Przy samym magazynie z dobrami widzieli, jak zatrzymuje się ciężarówka za ciężarówką i wyładowuje przywieziony ładunek paczek, każda tej samej wielkości co koszyk piknikowy. Wyciągając szyję tak by móc rzucić okiem za drzwi, Elgar zauważył, że w środku nie ma stołów ani lad – widać było tylko stojące rząd za rzędem głębokie pojemniki, z których prawie wszystkie były już pełne standardowych paczek.

Najbardziej ze wszystkiego zainteresowało ich jednak muzeum. Poza niekończącymi się rzędami gablot zawierających elementy flory, fauny i minerałów Athanaty, znajdowała się w nim wielka sala, w której eksponowane były statki kosmiczne pionierów. Statki stały na betonowych podstawach, a do ich włazów wejściowych prowadziły drewniane schody. Gromada robotników zajęta była układaniem za ostatnim statkiem jakiegoś prostokąta, zaklejaniem oznaczeń odległości i wykonywaniem kredą na podłodze tajemniczych niebieskich znaków.

Znajdowały się tam cztery statki. Dwa ogromne transportowce Rangimona, w których przybyli pierwsi przybysze, wypełniały środek hali, podczas gdy po jednej ich stronie stał nieco mniejszy *Procyon* Sigreya, a po drugiej – wrak małego frachtowca o wytłoczonej na burcie nazwie *Gnat*. Ten ostatni był mocno powgniatany i porysowany, a jego dziób był zapadnięty, ale nienaruszony. Za samymi statkami, wzdłuż ścian, stały kolejne rzędy gablot zawierających ekspozycje materiałów znalezionych na stojących przed nimi jednostkach.

Elgar na początku przejrzał gabloty, bardzo zainteresowany środkami medycznymi i apteczkami, w które wyposażone były statki sprzed dwóch tysiącleci, podczas gdy Daxon z równą chęcią oglądał zabytkowy sprzęt astrogacyjny. Gabloty zawierały dziwną mieszaninę przedmiotów, od nakrętek i śrub po otwieracze do puszek. Zastali tam również Ronny'ego, który wraz z jednym ze swoich ludzi robił listę rzeczy, jakie mogliby wykorzystać, na wypadek gdyby celowe okazało się małe włamanie.

W małej salce za *Night Dragonem* znajdowała się czytelnia, w której umieszczono biblioteki okrętowe, i w niej znajdowały się kolejne gabloty zawierające dzienniki pokładowe, listy załóg, manifesty oraz inne dokumenty okrętowe. Spostrzegli, że *Gnat* załadowany był telludium i innymi rzadkimi rudami, przewożonymi z Tellunovej na Ziemię. W dokumentach *Night Dragona* znaleźli nazwisko ich gospodarza, Tuthill. Mówił, że był jego głównym inżynierem, tak więc przeszedł do kierowania miejskimi elektrowniami. Ale co dziwne, nie wiedział nic o instalacjach na pokładzie statku. Powiedział, że nie był w stanie tego spamiętać, ale całe potrzebne materiały, były w książkach. Jeśli są zainteresowani mogą dowiedzieć się wszystkiego na ten temat, po prostu idąc tam i czytając

dziennik maszynowni. W ten sposób sam się tego dowiedział – przyznał niejasno.

Przejrzeli statki, wszystkie one były mocno przestarzałymi pojazdami o napędzie rakietowym. Były dość solidnie wypatroszone, czego należało się spodziewać, biorąc pod uwagę całe metry dobrze wypełnionych gablot na zewnątrz, ale stwierdzili, że większość ładunku *Gnata* wciąż w nim była.

— Wiesz, co ja myślę? — dopytywał się Daxon, otwierając pokrywę włazu ładunkowego Gnata i wąchając ciężki zapach pięciotlenku telludium, który się z niego unosił. — Te stare pierniki muszą nie wiedzieć, do czego nadaje się ten materiał, inaczej by go użyli. Patrząc na miasto wygląda, że od 2300 lat nie pojawiła się w nim żadna nowa myśl, co jest dosyć zabawne, bo w końcu to są ludzie. Nie powinni tak tkwić w miejscu przez dwa tysiące lat.

Ale Elgar nie odpowiedział mu. Stał jak wryty, wpatrując się w długą gablotę ustawioną na kozłach w pomieszczeniu sterówki. W tej gablocie, starannie owiniętych, przechowywanych było dwanaście maleńkich ludzkich szkieletów. Wszystkie były kompletne, poza tym, że jednemu brakowało lewej ręki.

— Dzieci – w wieku od piętnastu miesięcy do dwóch lub trzech lat — oznajmił Elgar przyciszonym głosem i wskazał na etykietę z napisem „Ten statek został odnaleziony na początku XIV Ery w prowincji Nu Noth Klina. Najwyraźniej stracono nad nim kontrolę. Te szkielety znaleziono skulone w pomieszczeniu sterówki. Nie ma żadnych informacji odnośnie tego, kiedy i jak załoga opuściła statek, ani dlaczego zostawiła te niemowlęta na pastwę losu.”

— **M**ój Boże, Sid! — wykrzyknął Elgar, cały spięty z podekscytowania, — Mam przeczucie, że właśnie zdobyliśmy kluczowe informacje o tej dziwnej planecie. Pamiętasz tego starego kozła, który badał nas pierwszego dnia – powiedział, że jesteśmy zbyt młodzi, by przeżyć. Cóż, on właśnie to miał na myśli… — wskazał drżącym palcem na wystawę małych kości. — Chodź, przekopmy się przez papiery tego *Gnata*.

Nieco zdziwiony, Daxon podążył za Elgarem z powrotem do pomieszczenia biblioteki, gdzie wyciągnęli dziennik pokładowy, listę załogi i inne dokumenty *Gnata*. Elgar znalazł informację, że załoga statku liczyła ośmiu marynarzy, plus czterech oficerów.

— Poszukaj czegoś o utracie ramienia — ponaglił Daxona, podczas gdy sam zaczął przeszukiwać bibliotekę w poszukiwaniu listy kursów statku.

Ostatni wpis w dzienniku pokładowym mówił po prostu: „Spodziewamy się wejścia w ciemną mgławicę około godziny piątej”. To wszystko. Przez wiele miesięcy wcześniej nie było żadnych wpisów, które wskazywałyby na jakiekolwiek powody do niepokoju lub obawę przed czymś.

Daxon nie znalazł niczego, dopóki nie cofnął się do zapisów z drugiego tygodnia po oczyszczeniu Tellunovej. Wtedy pojawił się następujący wpis, „…o szesnastej pięćdziesiąt trzy, maszynista Simok zaplątał się w siatkę perycykloidalną: lewe ramię poważnie zmiażdżone. O siedemnastej

dwadzieścia porucznik Tosson amputował ramię. Simok odpoczywa i ma duże szanse na powrót do zdrowia. Odcięte ramię zostało wyrzucone przez dyszę rufową.”

— To jest to! — eksplodował Elgar. — Dwunastu ludzi na pokładzie, jeden z nich jednoręki. Dwanaście szkieletów, jeden z nich jednoręki. To jest załoga, Sid, to co z nich zostało.

— Chyba oszalałeś — stwierdził Daxon, — wiesz przecież, że nikt nie wysłałby statku wyładowanego tak trudną w transporcie rudą telludium, z załogą złożoną tylko z dzieci. Przecież, to nawet nie są ciała dzieci, tylko niemowląt.

— Nie — odparł Elgar, poważnie, — nie jestem szalony. To wszystko wiąże się z rzeczami, o których wiedzieliśmy już wcześniej – zapominaniu połączonym z odmładzaniem – wszędzie widzimy oznaki tego. Będziemy coraz młodsi, aż w końcu zgaśniemy jak świece, chyba że najpierw umrzemy z głodu. Kapitan jest na tyle stary, aby mógł przez to przejść, ma odpowiedni zapas lat, podobnie Angus, ale ty, ja i inni jesteśmy na to za młodzi.

— Może ty to wszystko rozumiesz, ale dla mnie to jest grubymi nićmi szyte — ripostował Daxon, myśląc o otoczeniu tak podobnym do ziemskiego oraz wcześniejszym bezpiecznym przejściu przez zewnętrzną otoczkę mgławicy.

— Mogę się mylić — zawahał się Elgar — lecz wydaje mi się, że lepiej będzie jeśli się rozdzielimy aby każdy z nas mógł się zająć swoją częścią poszukiwań. Dowiedz się wszystkiego czego ci się uda na temat orbity Athanaty oraz ich kalendarza. Ja zajmę się aspektami medycznymi i historycznymi tej sprawy.

Dowodem na występowanie tendencji do zapominania, o której mówił Elgar, była przede wszystkim obfitość w całym mieście różnego rodzaju oznaczeń, szczegółowo informujących o przeznaczeniu i właściwości każdego budynku oraz rzeczy. Budynki, nie tylko publiczne, takie jak biblioteki, opatrzone były mosiężnymi tablicami informacyjnymi określającymi, do czego służą różne rzeczy i jak należy ich używać. Podobnie oznakowane były również mieszkania.

Na przykład dom Tutlów miał w ścianie obok wejścia wmurowany napis informujący, że jest to dom Filpa Tutla i Febe Tutl, a także podający ich rysopisy i cechy szczególne, oraz informację, gdzie przechowywane są zapasowe klucze, a także odsyłający do numerów akt w archiwum miejskim, gdzie można było znaleźć dodatkowe informacje. Poza tym, pewnego ranka obaj oficerowie ze zdumieniem zauważyli parę wiekowych robotników, którzy obok markera Tutla umieszczali brązową tabliczkę. Widniał na niej napis: „dr Elgar - Sid Daxn - wasz dom, wejdźcie”. A poniżej umieszczony został ich opis oraz pozostawiono puste miejsce przeznaczone na numery porządkowe, które nie zostały jeszcze im nadane.

Aż zamrugali oczyma, gdy to przeczytali. To była gościnność posunięta do ekstremalnego stopnia. Teraz jednak zaczynali rozumieć znaczenie znaków informacyjnych lub tatuaży na przedramionach ludzi, podających ich imiona i inne dane. Było to przygotowanie do walki z amnezją. Cierpiący ma nią lub jego znalazca musiał tylko rzucić okiem na informacje, i wiedział gdzie przynależy oraz gdzie znajdzie informacje o sobie.

Istniała również kwestia obsesyjnego prowadzenia notatników. Tak jak ludzie z załogi Thubana założyli dzienniki podczas przechodzenia przez mgłę, tak samo Athanatczycy zapisywali dosłownie wszystko, co robili. Domy wypełnione były skrzynkami na teczki z aktami, a ich duplikaty umieszczano u kapłanów w Świątyni.

Pewnego dnia przyszedł kapłan i zabrał kartki z zapiskami Tutla oraz jego żony, ale wrócił z nimi kilka dni później. „Prawie żadnych skreśleń” – oznajmił z dumą Tutl, pokazując pamiętniki Elgarowi. Sporadyczne zdania zostały wymazane, jak przez cenzora, ale generalnie zapis pozostał.

— Dlatego jesteśmy tak doskonałą rasą — kontynuował Tutl. — Tutaj jest wszystko, co było warte uwagi, z tego co kiedykolwiek zrobiłem. Błędy, które nie udzielają żadnej lekcji zostają wymazane, a my o nich zapominamy. W nowej Erze zaczniemy od najlepszych doświadczeń, które będą nas prowadzić. To są wspaniałe księgi — i z czułością poklepał teczkę z dokumentami, przekręcając zamek szyfrowy.

ROZDZIAŁ VIII

Z ROZKAZU NAJWYŻSZEGO KAPŁANA!

Badania Elgara w bibliotece nie były szczególnie pouczające. Istniała obfita literatura traktująca o historii Athanaty i miasta Hygon, ale im więcej na ten temat czytał, tym mniej rozumiał. Wydawało się, że wymaga to jakiegoś klucza.

Były w niej szczegółowe opisy tej i tamtej Ery, ale poza ich numeracją, prawie niemożliwe było stwierdzenie, czy dana Era poprzedzała następną, czy też po niej następowała. Wyglądało to tak, jakby istniała jedna historia, która została poddana wielu edycjom, z których każda różniła się od innych drobnymi dodatkami lub skreśleniami. Zawsze występowały tam te same osoby, robiące te same rzeczy. Z wyjątkiem tego, że wcześniejsze okresy mówiły o budowie miasta, podczas gdy późniejsze zajmowały się jedynie naprawami i niewielkimi dodatkami, jedna Era była bardzo podobna do drugiej, a jednak były to najwyraźniej odrębne okresy, niepowiązane ze sobą w żaden sposób. Tak jakby czas w Amnezji był nie tylko nieciągły, ale i powtarzalny.

Wysiłki Daxona przyniosły jeszcze mniej sukcesów. Nie było tu żadnego planetarium, a ludzie wyglądali na zbitych z tropu i nieco zszokowanych, gdy pytał ich o położenie planety w stosunku do słońca. Tak jakby w tym dociekaniu tkwiło coś świętokradczego. Jeśli istniała jakakolwiek wiedza na temat astronomii, była to tajemnica kapłańska, którą Daxon uznał za osobliwie trudną do zdobycia.

Jeśli chodzi o kalendarz, to był on prawie bez znaczenia. Athanata wprawdzie obracała się wokół osi, lecz poza dobami inne jednostki miały arbitralny charakter i nie były związane z jakąkolwiek rzeczywistością astronomiczną. Trzydzieści dni tworzyło miesiąc, zaś dwanaście miesięcy rok – być może była to tradycja przeniesiona z Ziemi. Nie wiadomo jednak, ile takich lat potrzebne było do tego by okrążyć Słońce. Być może naturalny rok odpowiadał temu, co nazywano Erą, ale Era obejmowała mniej więcej osiemdziesiąt ziemskich lat, choć początek każdej z nich był mglisty i nieokreślony, jak początek historii ludzkości.

Daxon postanowił jednak, że nie pozwoli, aby ignorancja czy też jakieś przesądy staruszków wzięły nad nim górę. Ruszył biegiem na *Thubana*, który wciąż leżał tak jak wylądował na środku pola lądowiska. Podniósł swój stary plik obserwacji słońca. Dzień po dniu robił nowe ujęcia i wykreślał je w krzywych. Mając trochę czasu, sam opracowałby orbitę Athanaty, choć tak naprawdę nie robiło to większej różnicy.

W międzyczasie zakończono proces zabezpieczania miasta przed tym, co miało nastąpić. Magazyny żywności były wypełnione po brzegi, ich drzwi zostały szeroko otworzone i zabezpieczone od góry tak, że nie można było ich łatwo zamknąć. W nocy ludzie oddawali się karnawałowi wesołości i przyjemności, podobnie jak to miało miejsce dawniej na Ziemi, gdy zbliżał się Nowy Rok. Starzy mężczyźni i stare kobiety kłębili się na ulicach, rozbawieni i weseli, lub wypełniali kawiarnie, groteskowo usiłując tańczyć, rechocąc przez cały czas w ogromnym rozradowaniu. Elgar przechadzał się wśród nich, ogromnie ciekaw, podziwiając to co widział.

Słysząc, że Ronny wyrzekł się rozkoszy życia miejskiego i wrócił na *Thubana*, by tam zamieszkać, Elgar udał się pewnego dnia z Daxonem na statek, aby się zobaczyć z inżynierem. Ronny uznał towarzystwo Ulbersona za odpychające, a wybryki starszej pary, u której kwaterował, wzbudziły w nim obrzydzenie. Ulberson jakimś cudem wydębił od władz samolot i poleciał w głąb kraju z torbą pełną notesów oraz papierowych map, aby trochę pozwiedzać. Zaraz gdy tylko odleciał, Ronny zebrał większość ludzi z załogi statku, wrócił na statek i na nim zamieszkali. Dla zabawy zaczęli kręcić się po maszynowni, łącząc kawałki zniszczonego Kinetogenu i spawając je we większe fragmenty.

— Wszystko to dlatego, żeby nie oszaleć — tak ujął to Ronny. — Nie byłem już w stanie znieść tego niezdarnego, zasuszonego głupca, u którego mnie ulokowali, ani tej strasznej baby dotrzymującej mu towarzystwa. Kiedy para osiemdziesięciolatków zaczyna szaleć, to ja pasuję. Czy widzieliście kiedyś parę strachów na wróble, próbujących tańczyć? — dopytywał się z prawdziwym oburzeniem. — A kiedy dowiedziałem się, jaki jest zawód tego starego capa, to aż usiadłem. Ten gościu jest odpowiedzialny za zakład deluminacji, jeśli to coś dla was znaczy. To jest pole na południe od miasta, gdzie trzymają rozłożone na słońcu mnóstwo kulek i śrub z czarnego aksamitnego materiału. One mają pochłaniać światło, jak twierdzi, ale jaki ma być z tego pożytek, to nawet on sam nie miał pojęcia. Ale jest strasznie dumny ze swojej pracy – mówi, że jest ważna, jak zobaczymy na koniec, w Dniu Zamknięcia. Niech to diabli!

Elgar i Daxon pogawędzili z nim trochę, rozbawieni jego pogardą dla Hygonian. Gdy opuszczali statek, tuż przy wejściu napotkali grupę starych dziwaków. Za nimi zaparkowana była ciężarówka, a nieopodal stała koparka. Staruszkowie właśnie kończyli ustawiać naprzeciwko *Thubana* słupek, do którego przymocowana była tablica z następującymi słowami:

„Ziemski statek kosmiczny *Thuban*. Spadł w 87 roku, 17 Ery. Nie otwierać do czasu gdy słońce znajdzie się w połowie wysokości. Umieścić w muzeum na niebieskich X-ach. Instrukcje znajdują się w Teczce BH-446, Szafka R-29, Mała Świątynia. Z rozkazu Najwyższego Kapłana."

— A więc to właśnie, przygotowywali na podłodze koło tych innych statków — chrząknął Daxon. — Mają zamiar dodać do swojej kolekcji również i ten.

— Do diabła, nie ma mowy! — prychnął Ronny, rzucając się między wymachujących rękoma starców, odrzucając ich sobie z drogi. Chwycił za

na wpół ubity słupek, wyrwał go z ziemi i cisnął na lądowisko. Szef ekipy ustawiającej słupek próbował się o niego upomnieć, ale nic nie wskórał z młodością i wigorem. Kręcąc głową i mrucząc coś o haniebnym sprzeciwianiu się rozkazom Najwyższego Kapłana, zabrał swoją grupę i po wygłoszeniu jeszcze kilku protestów, odjechał w szalonym tempie, jakie zawsze cechowało staruszków, gdy obsługiwali maszyny.

Elgar popatrzył znacząco na Daxona.

— Ci ludzie nie uważają, abyśmy mogli stąd odlecieć – nie, skoro już wybrali miejsce w muzeum dla starego *Thubana*.

— Ten statek nie pójdzie do żadnego muzeum. A w każdym razie, jeszcze nie, — wymamrotał Daxon, z gorącym żarem w głosie. — To jest mój bilet do domu i nawet wszystkie chwiejące się stare capy w tym szalonym mieście nie zdołają mi go odebrać.

Przedyskutował z Ronnym szanse na zabranie statku w kosmos. Tamten pokręcił ponuro głową.

— Obejrzałem sobie te stare wraki w muzeum – myślałem, że może uda nam się któryś z nich zwędzić, ale nic z tego. To stary typ napędu atomowego, a na pokładach żadnego z nich nie ma ani grama paliwa do niego. Dlatego właśnie utknęły tutaj. Gdybyśmy mieli materiały… Wiem, że robi się ciemno, ale myślę, że planeta obróci się, gdy dojdzie do końca swojej orbity i ruszy z powrotem. To wszystko, co wiem do tej pory.

— Obawiałem się tego — stwierdził Elgar, z zamyśleniem, ale tak naprawdę niepokoiły go trudne do odgadnięcia zagrożenia amnezji i nienaturalnego odmładzania przez spragnioną światła mgławicę, a nie ciemność czy zimno, z którymi każdy kosmonauta wie jak sobie radzić. — Chodźmy do kapitana i przedstawmy mu to, czego się dowiedzieliśmy.

ROZDZIAŁ IX

TRZYDZIEŚCI MINUS SIEDEMDZIESIĄT TO DAJE…

Kiedy jechali ulicami, w pewnej chwili Ronny szturchnął ich zwracając uwagę na ludzi ustawiających na niskich wspornikach słupów oświetlenia ulicznego miasta, jakieś czarne kule. Byli to ci „deluminatorzy", o których tak pogardliwie się wypowiadał.

— Czy potraficie to jakoś pozbierać do kupy? — prychnął. — Deluminacja! Załóżmy nawet, że czerń pochłonie całe światło, które na nią pada? I co z tego? Efekt przyciemnienia tej ulicy można uzyskać zasłaniając oko – w każdym razie, co to za pomysł?

Dalej jednak wzdłuż ulicy zobaczyli jak przygotowuje się inne elementy związane z deluminacją. W jednym z dużych sklepów spożywczych ludzie pracowali w środku przy szeroko otwartych drzwiach, rozpościerając na wewnętrznych ścianach czarny, aksamitny materiał, jakby w czasie przygotowań do jakiegoś wielkiego państwowego pogrzebu. Drzwi do sklepu spożywczego były zabezpieczone u góry, tak że nie można było ich łatwo zamknąć. Z drugiej strony, kiedy mijali muzeum i główną bibliotekę, zauważyli, że drzwi tych budynków zostały zamknięte i pokryte wielkimi pieczęciami, a przed nimi wzniesiono barykady zabezpieczające. Zaintrygowani tymi trudnymi do zrozumienia przygotowaniami, pospieszyli do miejsca, w którym znajdował się Yphon.

Znaleźli go leżącego w wygodnym fotelu na dachu pałacu prezydenckiego, z oczami zasłoniętymi goglami o ciężkich, przezroczystych soczewkach. Patrzył na słońce przez otwór w heliotropowej kopule i najwyraźniej dyktował coś ubranemu na czarno kapłanowi, który siedział koło niego i robił dokładne notatki. Za fotelem stał stary, przygarbiony gerontolog, który został przydzielony do „odnowienia" jego oczu.

Dwaj Athanasjanie, na jasno i wyraźnie wyrażone polecenie trzech młodszych i bardziej energicznych mężczyzn, wycofali się nieco w kierunku parapetu, kapłan ściskając swoje notatki w zesztywniałych palcach.

Oficerowie *Thubana* już na pierwszy rzut oka spostrzegli, że przedramiona kapitana zostały misternie poznaczone tatuażopodobnymi znakami, które nosili wszyscy Hygonianie, a przez rozchylony przód szaty, którą nosił, mogli dostrzec wiele kolejnych informacji wypisanych na jego piersiach, zaczynających się od słów: „Pol Yphn, Kaptn *Thubn*. U. Ziemia-4333 E.T." i tak dalej, nawet do złożonego numeru seryjnego przypisanego każdemu obywatelowi, wraz ze zwykłymi tajemniczymi odniesieniami do akt i szafek.

— Co jest, szefie? — spytał z pasją Daxon, zauważając oznakowanie i postawę rezygnacji u kapitana. — Zmienił się pan w tubylca?

— Częściowo — odparł kapitan, próbując przybrać lekki grymas. Zdjął swoje gogle i trzymał je na kolanach. — Ale, właśnie miałem zamiar po was posłać. Jest parę rzeczy, o których powinniście wiedzieć.

Elgar był wstrząśnięty widokiem oczu kapitana. Były w niemal takim samym stanie, jak w dniu, w którym wyrwali się z upadku na Syriusza – wyblakłe, matowe i żółte – oczy podstarzałego człowieka. Jednak nie odezwał się ani słowem na ten temat, Kapitan odchrząknął i powiedział.

— Wy panowie musicie zebrać całą załogę i zaprowadzić ją na pokład statku. Okopiecie się tam za osłonami, tak jak zrobiliśmy to w drodze tutaj, bo obawiam się, że czeka was prawdziwe niebezpieczeństwo. Może będziecie tam bezpieczni. Co do mnie i Angusa, zostaniemy na zewnątrz, więc nie martwcie się o nas. Uważajcie na siebie, tylko o to proszę.

— Wygląda na to, że mają tutaj koniec kolejnej Ery – jutro będzie ostatni dzień, dzień Ostatecznego Święta. Potem nadejdzie Mrok. A w Mroku tym, jak twierdzą kapłani, grzechy wszystkich ludzi są z nich zmywane i zapominane; ich fizyczne ułomności i zniedołężnienie znikają; wszyscy staną się na początku nowej Ery młodzi i silni. Wiem, że to brzmi jak stek bzdur, ale na tych planetach południa dzieją się dziwne rzeczy – rzeczy, które nie mogą mieć miejsca według każdej ziemskiej teorii matematycznej… Widziałem już wiele takich dziwnych spraw na długo przed tym, zanim wpadliśmy w Amnezję.

— Fakt, że tutejsza rasa jest kontrolowana przez kapłanów sprawia, jak myślę, iż oni sami tylko częściowo to wszystko rozumieją. Osobliwość rasy ludzkiej, czy to w domu, czy na najdalszej nawet planecie, polega na tym, że w obliczu Nieznanego, robi ona z tego religię. Mam wrażenie, że tutaj wiedzą, co się dzieje, ale już nie dlaczego. Jakkolwiek by nie było, widzimy miliony ludzi żyjących i rozwijających się w warunkach tego systemu. Musimy im wierzyć, pójść za ich radą

— Mówiąc krótko, wchodzimy w Mrok – prawdopodobnie chodzi o tę mgławicę – i tam staniemy się młodsi. Oraz utracimy część naszej pamięci.

Elgar skinął głową ze zrozumieniem. Tego wszystkiego już się domyślił. Yphon wyglądał na bardzo strudzonego i zmęczonego, lecz po chwili zaczął mówić dalej.

— Ze względu na dobro statku, posłuchałem ich rady. Prizdint zapewnia mnie, że przed początkiem nowej Ery nie da się niczego zrobić w sprawie napraw statku. Dlatego właśnie dyktuję te notatki. Chcą zapisać wszystko, co wiem – wszystkie nasze nowsze wynalazki i późniejsze dokonania na Ziemi. Kiedy nadejdzie następna Era, będę mógł ponownie przeczytać to, co napisałem i odświeżyć swoją pamięć. Są tu plany przywrócenia *Thubana* do użytku i zabrania go do domu. Prizdint obiecuje, że udzieli nam wszelkiej pomocy, jeśli po zobaczeniu tego miasta w nowej Erze, będziemy chcieli wracać.

— Łatwo coś takiego obiecywać... widząc, że on o wszystkim zapomni, tak samo i my zapomnimy, razem z chęcią powrotu — przerwał Elgar, z goryczą. Myślał nie tylko o przygotowaniach czynionych w muzeum do umieszczenia tam statku, ale o zamazanych fragmentach w dziennikach Tutla. — Pańskie notatki zostały umieszczone w bezpiecznym miejscu, mam nadzieję?

— O tak… w Wielkiej Świątyni. Proszę spojrzeć… — i rozchylił szerzej szatę oraz wskazał na numer „ZR-688”. — To moje osobiste akta. Ten kapłan jest moim sekretarzem. Spisuje wszystko co powiem i codziennie zabiera to tam, a następnie składa do akt. Gdy zwalniam lub brakuje mi słów, podpowiada mi – zadaje pytania. Mądry gość, z tego małego, starego kapłana.

„Mądry. Zbyt mądry” — pomyślał Elgar z niepokojem.

Kapitan był w większym niebezpieczeństwie, niż zdawał sobie z tego sprawę. Hierarchia, która rządziła Athanatą, z największą ochotą wyssałaby z niego całą jego wiedzę. Jak również chętnie by pochwycili człowieka tego kalibru i dodali go do swojej popadającej w stagnację populacji. Elgar widział, że bracia oficerowie podzielają jego uczucia, ale szybkim gestem ręki dał im do zrozumienia, żeby dali sobie spokój. Mogli to omówić później, między sobą.

— Ten proces odmładzania w Mroku, jak rozumiem — kontynuował kapitan — przebiega równomiernie w całym organizmie. To dlatego znowu postarzają mi się oczy. Ta skoncentrowana dawka siły odmładzającej, jaką dostałem przez lupę peryskopu, sprawiła, że nie nadążałyby one za resztą mnie. Lekarze mówią, że gdybym je tak zostawił, to w końcu bym oślepł. Podczas gdy ja bym odmłodniał, one zdegenerowałyby się do zera – w najlepszym razie zmieniłyby się w oczy embrionalne – i potem już by się nie rozwinęły.

— Nie powinno przynieść żadnej szkody jeśli człowiek ponownie stanie się młody. Nie, jeśli na początku jest się wystarczająco starym. Ale kiedy byłem na dole w Rejestracji, aby uzyskać swój numer i pozwolić im wydrukować na mnie te wszystkie zapisy przy pomocy maszyny promienistej, widziałem ich jak biegają wokół tych nowo narodzonych – tych urodzonych podczas obecnej Ery – w jej trakcie. Numerują wszystkich w nieusuwalny sposób, bo tamci wszystko zapomną. W Mroku utraciliby swoją tożsamość. Pytałem o was, ale starzec, który tam dowodził, tylko pokręcił głową i powiedział, że to nie ma sensu. Nie ma to znaczenia. Wszyscy jesteście zbyt młodzi, by zawracać sobie wami głowę. Nie chcą zapisywać waszych nazwisk w księgach, bo to sprawiłoby, że ich statystyki wyglądałyby znacznie gorzej. Ponieważ uważają się za nieśmiertelnych, zapisy na temat ludzi, którzy umierają, są skazami na systemie.

— Nieśmiertelni, a nich mnie diabli! — wychrypiał Ronny, z krótkim rechotem. — Przecież, przechodząc pewnego dnia przez Południowy Portal, widziałem jednego z tych starych myszołowów – wiecie, jak oni jeżdżą – jak owinął się w swoim wehikule wokół tego posągu, który stoi pośrodku placu zgromadzeń. Jeśli nie był martwy, to nie wiem, co trzeba by zrobić, żeby go utłuc. Musieli go zeskrobywać żyletkami.

— Wypadki się nie liczą — przerwał mu Yphon, wracając do swego dawnego, wisielczego humoru — nie da się ich zwalić na kapłanów czy lekarzy. To wiek ich niepokoi i dlatego stosują ten system kolorowych kopuł. To są tak naprawdę filtry promieniowania, które regulują tempo metabolizmu. Przy powtarzającym się w kółko odmładzaniu ważne jest, aby każdy osiągał koniec Ery w tym samym wieku. Dzięki temu wszyscy zaczynają nową Erę tak samo. Oryginalni pionierzy, koloniści z dwóch pierwszych statków, prawie wszyscy ciągle żyją, chociaż rozmawiając z nimi stwierdzam, że zapomnieli o swym przybyciu w to miejsce, czy też o jakichkolwiek rzeczach związanych z Ziemią, chociaż niektórzy zachowują bardzo wyraźne wspomnienia z dzieciństwa.

— W każdej Erze od tego czasu, populacja powiększa się, ale w peryhelium i przez jakiś czas po nim, nowo urodzeni mogą podwyższyć swój wiek fizyczny do poziomu pionierów, poprzez wystawienie się na większe natężenie promieni słonecznych. Wiek kalendarzowy nic tu nie znaczy – liczy się stan fizyczny. Ludzie, którzy starzeją się wolniej, mieszkają pod bledszymi kopułami. Przedwcześnie postarzałych trzymają w półmroku. W zeszłym tygodniu słyszałem o przypadku gerontologa, któremu zmarła jedna z podopiecznych – stara kobieta. Był to wielki skandal, ponieważ zmarła ona ze starości. Zredukowano go do poziomu robotnika i zniszczono zapisy na temat jego przeszłości.

— Myślę, że wiem na czym polega nasze niebezpieczeństwo, panie kapitanie — powiedział Elgar. — Podejmiemy odpowiednie kroki. To wszystko jest kwestią arytmetyki. Najwyraźniej traci się trzy czwarte stulecia, mniej więcej, ze swojego równoważnego wieku. Ale pan ma jeszcze sporo w zapasie. Ma pan koło dziewięćdziesiątki, prawda?

— Dziewięćdziesiąt sześć.

— Co za wspaniałe miejsce dla nas — zauważył Daxon, z ogromnym uśmiechem. — Można sobie odjąć siedemdziesiąt pięć lat od dziewięćdziesięciu sześciu i znaleźć się w bardzo sympatycznym wieku. Tyle że ja zaczynam od trzydziestu sześciu. Zacznijmy odejmować od tego te siedemdziesiąt lub coś koło tego lat i... pfff! Zgasnę jak świeca, zanim znajdę się w połowie drogi. Piękne miejsce, nie ma co!

Zmęczone oko Yphona posłało jego dawne mrugnięcie, a on sam uśmiechnął się swym słynnym cynicznym uśmiechem.

— Przynajmniej wiecie, z czym musicie walczyć – nie będę się o was martwił, panowie.

Pogrążył się w zmęczonym milczeniu i zamknął oczy. Pozostali stali niespokojnie wokół, zastanawiając się, czy rozmowa została zakończona. Ślady długiej podróży były po kapitanie wyraźnie widoczne. Powinien był zostać na Ziemi, na emeryturze. Ale po chwili poruszył się i znów przemówił.

— Co do Ulbersona… jest gdzieś w górach… jakieś wspaniałe znalezisko, nie wróci, dopóki wszystko nie zostanie spisane. To opiniotwórczy osioł... nie ryzykujcie dla niego życia... ale miejcie oczy

otwarte, może wróci. W końcu jest kolegą ze statku… mamy względem niego obowiązki. Powodzenia, dbajcie o siebie. Ja będę mógł żyć na tej przeklętej planecie, jeśli będę musiał… jestem w stanie przyzwyczaić się do wszystkiego w kosmosie... tak zawsze mówiłem…

Słowa starego człowieka ucichły, gdy zapadł w senną drzemkę. Jego oddani oficerowie odczekali chwilę i oddalili się na paluszkach. Gdy odeszli, mały kapłan i przygarbiony lekarz wrócili jak para harpii, aby wznowić swą wartę. Człowiek taki jak Yphon był dla nich wielkim znaleziskiem. Zamierzali go zatrzymać.

ROZDZIAŁ X

KRYĆ SIĘ PRZED SŁOŃCEM!

Tej nocy wygrzebali każdy skafander kosmiczny, jaki był na *Thubanie*. Te o lżejszej konstrukcji pozbawili filcowej wyściółki i urządzeń grzewczych, a następnie dobrze wyczyścili je od środka. Delikatnie manipulując swoimi narzędziami, Ronny wyłożył ich wewnętrzne powierzchnie folią z magnalu[1]. Od zewnątrz spryskał je antyluksem.

— Odporne na promieniowanie, o ile w ogóle wiem jak robić tego rodzaju rzeczy — ocenił, szczerząc w uśmiechu zęby, spoza spływających z niego strug potu. — Nie może ono ani z się nich wydostać, ani nie może dostać się do środka. Jeśli to nie pomoże, to jesteśmy w kropce. Proszę bardzo, moi drodzy, możecie je założyć i buszować sobie po okolicy. Jeśli nie wrócicie, będziemy wiedzieć, że przeciekają.

— Dzięki — odparł krótko Elgar, biorąc dwa skafandry i ruszając do zaparkowanego na zewnątrz samochodu. — Sid i ja mamy zamiar rzucić okiem na jutrzejszy wielki pokaz w Świątyni. Kiedy się skończy, wrócimy tutaj. Czytałem tyle edyktów tego Najwyższego Kapłana, że chcę zobaczyć naszego przyjemniaczka w akcji. Do zobaczenia po nabożeństwie.

Po drodze zauważyli z lekkim rozbawieniem, że starcom udało się wreszcie obsadzić swój słupek z napisem o przeniesieniu *Thubana* do muzeum. Umieścili go w pobliżu końca nasypu drogi, dobrą milę poza zasięgiem Ronny'ego i dokładnie tam, gdzie przybywający z miasta człowiek musiałby go napotkać.

Zastali Tutla na progu jego domu, niespokojnie wyczekującego ich powrotu. Razem z nim był tam komisarz, który martwił go o samochód. Powinien zostać zwrócony i zaplombowany przed nastaniem ciemności, wraz z innymi maszynami. Z wielką ulgą komisarz odjechał, aby pozbyć się maszyny.

Zanieśli przygotowane skafandry kosmiczne do mieszkania i schowali je w szafie. Wnętrze domu przybrało niesamowicie żałobny wygląd, ponieważ ściany zostały udrapowane na całej długości pasami czarnego materiału, podobnego do tego który widzieli rozkładany w sklepach spożywczych. Tej nocy musieli iść do łóżka przy świecach – zadziwiający relikt starożytności – ponieważ Tutl oznajmił, że musiał zamknąć elektrownie miejskie i zapieczętować je na Dzień Ostateczny. Nie będzie więcej światła elektrycznego aż do nadejścia nowej Ery. Zapytany, kiedy to nastąpi, Tutl tylko pokręcił głową.

---

[1] Magnal – stop magnezu i aluminium (przyp. tłum)

— Równie dobrze możecie pójść ze mną — zaprosił ich Tutl rano, — tutaj czulibyście się strasznie ponuro. Nie zarejestrowali was, wiem, ale każdy jest mile widziany w Świątyni w Dniu Ostatecznym.

Elgar miał pewne obawy, aby zostawić ich skafandry, kiedy wychodzili przez drzwi frontowe. Same drzwi zostały rozkręcone i usunięte, pozostawiając jedynie ziejący otwór wejściowy. Widać było przez niego złowrogą czerwoną poświatę, tak jakby odległe części miasta były ogarnięte przez jakąś pożogę. Po wyjściu na zewnątrz zobaczyli, że niebo, które do tej pory miało niebieski kolor, prawie tak jak na Ziemi, i nie przepuszczało czerwonawych promieni, o których wiedzieli, że wypełniają przestrzeń ponad nim, dzisiaj było zabarwione tym samym kolorem, który pamiętali z czasów przebijania się przez zewnętrzną powłokę Amnezji. Słońce wisiało w górze, ale jego krąg był niewyraźny i zamglony, i otaczała je karmazynowa aureola. Daxon wzruszył ramionami. Minie jeszcze dziesięć lub więcej godzin, zanim naprawdę znajdą się w obrębie mgławicy.

Nie zważając na gniewne światło, do Świątyni zbiegały się zewsząd tłumy chwiejących się na nogach Hygonian. Wielu z nich dawało sobie radę bez lasek i kijów, ale z ciemniejszych stref przybyli inni, całymi karawanami wózków inwalidzkich. Jednakże pomimo ich zniedołężnienia i złowrogiego czerwonawego światła na niebie, panowała świąteczna atmosfera. Sąsiedzi wymieniali się przelotnymi słowami pożegnania, wesołymi niemal do granic możliwości. Wyglądało to podobnie do dawnych zwyczajów sylwestrowych na Ziemi, albo Dnia Startu w jakimś wielkim porcie kosmicznym, kiedy jakiś super-liniowiec wyrusza w galowy rejs.

Do wielkiej Świątyni podchodziło się przez rozległy plac, obecnie wypełniony tłumami śpieszących się ludzi, jeśli tego słowa można było użyć w stosunku do żałosnych starczych wysiłków, w szybkości poruszania się na piechotę. Była to okrągła budowla z ciosanych bloków granitowych, zwieńczona kopułą zbudowaną z tego samego materiału. U góry, po południowej stronie kopuły, znajdowała się w niej małe mansardowe okno, poza tym budynek nie miał żadnych innych otworów zewnętrznych, z wyjątkiem trzech drzwi, z których środkowe były ogromne, a po obu stronach znajdowały się mniejsze.

Tutl poprowadził ich do lewych drzwi.

— Prawe, to wejście dla kapłanów – to jest dla Ziemian. Wszyscy inni korzystają ze środkowego.

Ale przy drzwiach zostali zatrzymani przez parę surowych, nerwowych strażników.

— Nic nie mogę na to poradzić — ostro rzucił starzec, zawracając się do dwu oficerów, — ale nie jesteście zarejestrowani. To piętro jest tylko dla obywateli pierwszej klasy. Wejdźcie do Świątyni, jeśli musicie, ale użyjcie głównego wejścia.

Tutl był mocno zakłopotany i zaczął ich przepraszać, lecz jego goście machnęli na to wszystko ręką.

Nie miało to dla nich większego znaczenia. Fakt, że władcy Hygonu uważali ich za osoby nieistniejące, był dla nich czymś w rodzaju żartu. Przeszli przez główne drzwi i wspięli się po niekończących się schodach, podziwiając przy tym hart ducha starszych osób, wdrapujących się z mozołem koło nich.

Na górze odkryli, że schody wiodą do galerii podzielonej na wiele segmentów. Wybrali ten z najlepszym widokiem na znajdujący się poniżej ołtarz, weszli do środka i usiedli na pustych miejscach obok jakiegoś zdumionego patriarchy. Pozostali siedzący w pobliżu starcy gapili się i szeptali, szturchając się nawzajem, ale po chwili szmer ucichł.

— To zaszczyt, że w tej sekcji usiedli ludzie urodzeni na Ziemi — powiedział starzec obok nich, z wyszukaną uprzejmością. — My tutaj pochodzimy z XIV Ery i jesteście wśród nas jak najmilej widziani.

Oficerowie *Thubana* odpowiedzieli na powitanie starszego człowieka uprzejmymi ukłonami, po czym zaczęli przyglądać się wielkiej sali. Był to amfiteatr, widać było że budynek przecięty jest na pół płaską ścianą, ze wschodu na zachód. Siedzieli zwróceni twarzami na północ, patrząc na ścianę pośrodku której znajdowała się duża wnęka, w której stał jakiś wysoki posąg, czy też obelisk, zwieńczony złotą kulą. Wokół jego cokołu stały cztery wielkie naczynia z brązu, uplecione z płaskich taśm i stojące na trójnogach. Ewidentnie były to ogromne kadzielnice. Bezpośrednio przed obeliskiem umieszczona została niewielka scena, na której stał ołtarz. Za nim znajdowało się retabulum z dziwnym wzorem przedstawiającym zgarbionych starców i młodzieńców w trakcie jakiejś zabawy. Cała sala oświetlona była miriadami świec.

Na głównym poziomie widowni, przed ołtarzem, na półokrągłych marmurowych siedzeniach siedziało całe mnóstwo urodzonych na Ziemi – tych, którzy przybyli na tę planetę w znajdujących się w muzeum statkach – niby jacyś starsi w senacie państwa z odległych starożytnych czasów. W galeriach, po prawej i lewej stronie, rozciągały się pozostałe segmenty przeznaczone do zajmowania przez osoby urodzone w kolejnych Erach. Te po prawej stronie były węższe, a każdy kolejny, w miarę jak oko przesuwało się w lewo, robił się coraz szerszy, zwiększając się jakby w jakimś harmonijnym postępie. Dwie sekcje najbardziej po lewej, największe ze wszystkich, były zupełnie puste.

— Dzieci każdej z Er siedzą osobno — szepnął ich samozwańczy gospodarz. Te z Drugiej tam po lewej - a po prawej stronie jest jeszcze miejsce dla dwóch kolejnych. Potem będziemy musieli zbudować nową Świątynię.

Daxon był ciekaw pojedynczego otworu w kopule, odwrócił się i popatrzył na niego. Była to okrągła dziura, a krwiste, mgliste światło, które przez nią prześwitywało, dziwnie kontrastowało z jaskrawo oświetlonym wnętrzem. Wiedział jednak, że na niebie słońce wciąż walczy z mgłą.

Tuż poniżej podstawy kopuły znajdował się szeroki relief bogato zdobiony maszerującymi, roztańczonymi postaciami ludzkimi, odlanymi w formie płaskorzeźby. Podobnie jak wzór na retabulum, składał się on na przemian z chłopców i starców podążających za sobą w ciągłym

wzajemnym pościgu. Symbolika tego była jasna. Rytm dziejów został oddany tak dobrze, jak tylko sztuka plastyczna mogła tego dokonać.

— Tam — powiedział cicho Elgar do Daxona — przedstawiona została cała historia – historia tego ludu. Życie, które płynie tam i z powrotem, jak fala przypływu, od młodości do starości. Błędne koło, według mnie.

— Ciekawe, jak wygląda ruch pod prąd? — zauważył Daxon.

— Wkrótce się tego dowiemy — odparł ponuro Elgar.

Właśnie w tej chwili starzec, który wcześniej z nimi rozmawiał, grzecznie zwrócił ich uwagę na szereg inskrypcji, umieszczonych jedna nad drugą, na przedzie obelisku.

— To będzie wielka chwila, kiedy zobaczymy je ponownie, oświetlone przez słońce, i będziemy wiedzieć co robić. Dobrze pamiętam, jak to było na początku tej wspaniałej dla mnie ery, kiedy słońce musnęło piąte polecenie od dołu, i kapłan wywołał moje imię. Wtedy to mianowano mnie nadzorcą transportu, dano mi książki instruktażowe oraz pozwolenie na łamanie pieczęci. W każdej z trzech epok, od tego czasu, byłem nadzorcą.

Starzec promieniał w ich kierunku dumą, podczas gdy obaj oficerowie wymruczeli swoje gratulacje. Jego uwagi pozwoliły im nieco lepiej zrozumieć, jak działała machina reorganizacji w krainie amnezji. Ten obelisk był czymś w rodzaju kamienia kalendarzowego, czyli urządzenia podobnego do stosowanych przez Egipcjan, w celu regulowania pory swoich zasiewów. W miarę jak deklinacja słońca zmieniała się na początku danej ery, automatycznie podświetlało to kolejne polecenia wyryte na smukłym obelisku. Niewątpliwie każdy taki rozkaz miał dołączone zwykłe odniesienia do umieszczonych gdzie indziej akt, a te kapłani potrafili już odpowiednio interpretować. W ten sposób ludzie mogli pozostawić swoje notatki oraz plany, i zapomnieć. Słońce porządkowało ich życie za nich, tak jak to zostało wcześniej ustalone.

Ale żywe, wesołe rozmowy nagle ucichły. Wyciągnęli szyje aby spojrzeć co się dzieje na dole i zobaczyli tam kapitana Yphona, uroczystego i dostojnego, ze starym Angusem u boku, odprowadzanych nawą głównego poziomu na honorowe miejsce w pierwszym rzędzie.

W chwili gdy usiedli, hałaśliwe tłumy na galerii ucichły. Wijące się brody przestały się poruszać; przez chwilę światło rozbłysło na łysinach, gdy dziesiątki tysięcy lśniących gołych czerepów przestało sobie przytakiwać i zwróciło wzrok na ołtarz. Najwyższy Kapłan i jego towarzysze zajmowali swoje miejsca. Z jakiejś niewidocznej galerii do sali zaczęła dochodzić delikatna muzyka.

Najwyższy kapłan wygłosił długie przemówienie. Wspominał o osiągnięciach Ery, rozwoju miasta, wzroście populacji. Mówił o nowych przybyszach, którzy przynieśli nowe idee, po czym kazał kapitanowi Yphonowi wstać i przyjąć burzliwe okrzyki zgromadzonych ludzi. Po tych słowach nastąpiła chwila przerwy.

Niemalże niesłyszalna muzyka zmieniła swoją tonację z tryumfalnego trybu durowego na pulsujący, mollowy. Gdy tylko zmiana nastroju dała

odpowiednie efekty, kapłan rozpoczął przypominający pieśń recytatorską wywód o niedolach wieku, niedomaganiach, bólach i zmęczeniu.

Uniósł wysoko rękę. Muzyka nabrała bardziej zdecydowanego, bojowego charakteru i wypełniła całą salę. Było południe. Pojedynczy snop czerwonego światła przebił się przez portal słoneczny w kopule dachowej i rozlał się rozbłyskując na symbolu słońca na szczycie kamiennego obelisku. Dźwięcznym, pełnym pasji głosem kapłan zelżył słońce jako przyczynę wszystkich ich smutków oraz trosk, i przeklął je gromko. Gdy muzyka nasiliła się do poziomu głośnego grzmotu, cała publiczność wstała i zaczęła skandować wściekłymi, skrzeczącymi głosami:

— Kryć się przed Słońcem! Kryć się przed Słońcem! Kryć się przed Słońcem!

Najwyższy Kapłan uderzył w gong i odpowiedział:

— Niech tak będzie!

Zza obelisku wystąpili jego asystenci z ognistymi pochodniami i rozpalili kadzielnice. W tej samej chwili, zwymyślane słońce prześlizgnęło się dalej poza południk. Snop światła zniknął, a błyszcząca karmazynowa kula na wierzchołku monolitu przestała świecić. Mocno pachnący dym uniósł się z kadzielnic, pochłaniając obelisk, a gdy wzniósł się jeszcze wyżej, także i sam symbol słońca. W milczeniu, kapłan nasunął pokrywę na otwór w kopule. Przez chwilę nie było widać niczego poza wznoszącymi się chmurami czarnego dymu, słabo oświetlonego od dołu przez szkarłatne węgle z kadzielnic. Przez tłum przeszło potężne westchnienie.

ROZDZIAŁ XI

GDZIE JESTEM?

Potem, dzięki jakiejś kościelnej sztuce, w smugach dymu przed kamienną konstrukcją, nagle pojawiła się figurka dziecka, wymodelowana z bliżej nieokreślonej świecącej, białej substancji. Przesunęła się do przodu i spoczęła przed ołtarzem, zasłaniając go zupełnie.

Galerie i podłoga w dole huczały teraz chichotem i wrzaskliwym śmiechem, gdy rozszalali starcy zataczając się na nogach, zrywali się, oddając się niepohamowanej radości, orgii poklepywania po plecach i dzikim wrzaskom. Stary człowiek obok Elgara stał wyprostowany, waląc ze wszystkich sił swoją laską w podłogę.

— Ach, czyż to nie cudowne być znowu młodym! — po czym odrzucił laskę i próbował ruszyć w tany. Ale nawet w tym migoczącym półświetle łatwo było zauważyć, że wcale nie był z powrotem młody.

— Ratujmy kapitana i uciekajmy stąd — ponaglał niecierpliwie Daxon.

Korytarze między fotelami przemierzali teraz asystenci, niosąc duże, oplecione w wiklinę gąsiory, zawieszone parami na kijach między nimi. Zatrzymywali się wszędzie i nalewali do pucharów dziwne wino z jagód torl, lepki zielony napój tak uwielbiany przez Athanatczyków. Ludzie szaleli z zachwytu. Dotarli do końca czasu. Nic nie miało teraz znaczenia.

Przedzierając się przez rzesze rozhisteryzowanych wyznawców. Elgar i Daxon szukali schodów na niższy poziom, ale żadnych nie udało im się odnaleźć. Zeszli po tych samych schodach, którymi weszli i znaleźli się zupełnie na zewnątrz budynku Świątyni, na placu. Mgła zgęstniała do poziomu śmiertelnie czerwonego i obaj oficerowie zdali sobie sprawę z tego, że nie ma czasu do stracenia.

Strażnicy przy wejściu dla urodzonych na Ziemi ponownie odmówili im przejścia, ale wszelkie względy grzecznościowe zostały teraz odsunięte na bok. Stanowczo odepchnęli staruszków pod ścianę i przeszli obok nich.

Na głównym poziomie Świątyni panowało obecnie prawdziwe pandemonium. Unoszący się dym z kadzideł koło ołtarza utrudniał widzenie, a szalejący z radości staruszkowie w amoku swojej zabawy poprzewracali i pogasili wiele świec. W pewnej chwili dostrzegli Yphona, otoczonego przez grupę porywaczy, którzy z zapałem opowiadali wszystkim dookoła o swoim dzieciństwie na Ziemi – jedynym trwałym wspomnieniu, jakie ciągle im pozostało. Lecz w kłębiącym się tłumie i tumanach dymu zgubili go, a dwukrotnie nawet oni sami niemal zostali rozdzieleni.

Okazało się jednak, że wydostanie się na zewnątrz Świątyni nie było takie łatwe jak wejście do środka. Oburzeni strażnicy, nie tylko z powodu

tego, co uważali za osobistą zniewagę, ale także wściekli z powodu świętokradztwa, jakim było siłowe wdarcie się na główny poziom Świątyni, wezwali posiłki. W korytarzu zebrało się obecnie kilkudziesięciu starców, a ze wszystkich stron napływali kolejni.

Bezwzględnie walcząc, roztrącając swoich wiekowych przeciwników jak kręgle, obaj oficerowie przebili się w końcu przez zebrany tłum. Krzyki strażników sprowadziły kolejnych podekscytowanych, w tej chwili już solidnie pijanych starców, którzy setkami spływali z galerii. Choć generalnie byli słabi i niezbyt pewnie trzymali się na nogach, to jednak paru z nich miało całkiem silne ramiona. Daxon przekonał się o tym, gdy potknął się o jednego z nich i znalazł się pod stertą innych, kurczowo się go czepiających. Rozdając na wszystkie strony uderzenia pięściami oraz zaciekłe kopniaki, udało mu się wyrwać z tej grupy, ale tylko po to, by za chwilę zostać powalonym przez kolejną.

Elgar był w lepszej sytuacji. Znajdował się nieco bardziej z przodu i udało mu się wywalczyć drogę do drzwi. Zakładając, że Daxon przebija się gdzieś tuż za jego plecami, wydostał się przez nie na plac. Gdy już tam się znalazł, zauważył, że nie ma chwili do stracenia, bo choć minęła ledwie godzina, powietrze zmieniło się w gęstą, krwawą mgłę, a tam, gdzie powinno świecić słońce, widoczna była tylko nieco jaśniejsza plama. Athanata znajdowała się już niemal całkowicie w mgławicowej otoczce Amnezji.

Nie mógł czekać na Daxona ani nie mógł pozwolić sobie na ryzyko powrotu do Świątyni, aby mu pomóc. Któryś z nich musi zachować swoje siły. Dopóki jednemu to się udawało, istniała nadzieja dla reszty. Biegł ulicą, koncentrując się zawzięcie na myśli o dotarciu do domu Tutlów, doskonale zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie mu groziło, gdyby jego koncentracja zawiodła go choćby na chwilę. W ten sposób udało mu się pokonać mniej więcej dwie trzecie odległości do miejsca, w którym czekały na nich chroniące przed promieniowaniem skafandry.

Przez cały czas starał się trzymać tego, co pozostało ze światła słonecznego, unikając cieni. Ale nagle zorientował się, że poszedł drogą, która aby dostać się do domu Tutlów, zmuszała go do wyboru między niebezpieczeństwem pokonania kilku przecznic zacienioną niewielką uliczką, a długim i niepewnym jej obejściem. Zebrał całą swoją siłę woli i zagłębił się w mroczną uliczkę, próbując jak najszybciej dotrzeć do celu.

W pewnej chwili, bez żadnych wcześniejszych ostrzeżeń, nagle zdał sobie niejasno sprawę z tego, że coś jest nie tak. Siedział w ciemności na czymś, co wydawało mu się być chodnikiem, a także wydawało się być na świeżym powietrzu, gdyż taką dawał sugestię muskający mu policzek wietrzyk. Zastanawiał się, czy nie zemdlał... ach, właściwie to w tym momencie zajmował się biciem pięścią w jakąś pomarszczoną, brodatą twarz i zrywaniem z siebie szponów oszalałego starego wariata, który próbował go powstrzymać… bił się z nim – to było to… musiał zostać w jakiś sposób znokautowany.

Nie udało mu się jednak podążyć dalej za tą myślą… ogarnęła go jakaś dziwna, leniwa obojętność, coś w rodzaju stuporu. Mijały godziny, a może tylko sekundy. Czas był wiecznością, czas był chwilą – w tej chwili jedno i drugie znaczyło dla niego to samo. Ze wszystkich sił starał się jednak znowu zacząć myśleć. Przed chwilą obserwowali rozpalanie kadzielnic i unoszący się dym… ten dym… gdy się rozwieje, muszą znaleźć Yphona i uciec… pokonać tę podstępną amnezję… nie da rady. Amnezja – ach… czy to mogłoby być to? Nie, to nie może być prawda… Przecież doskonale wiem, kim jestem.

Lecz nie był w stanie myśleć. Jego myśli błądziły w najbardziej zaskakujący i irytujący sposób. Gdyby tylko mógł jasno pomyśleć… ale potrafił przecież przypomnieć sobie o Amnezji - Boże! Jestem Elgar… lecz gdzie jest Sid? Nie mogła minąć więcej niż minuta, odkąd pomagał mi wyjąć te skafandry kosmiczne z samochodu… Zaraz po tym odjechał Tutl… to głupoty opowiadać o jakiejś amnezji.

Z przodu widać było czerwonawą plamę światła, położoną powyżej jego głowy. Pięć niepewnych kroków doprowadziło go do niej bliżej, na tyle, że dostrzegł, iż stoi ona jak kwiat na łodydze na szczycie smukłego zielonkawego elementu – pręta. Kiedy znalazł się już tak blisko niej, rudawy kolor zbladł, by ukazać w górze upiorną białą kulę, przyćmioną i niesamowitą, błyszczącą jedynie tak słabo, by w jej świetle widać było wirujące pasma szarawej mgły. Wyciągnął gołą rękę i dotknął zielonej łodygi, po czym cofnął ją szybko. Łodyga była żelazna, jak latarnia, i śmiertelnie zimna. Dlaczego była taka zimna? Musiał śnić. Ale jego dłoń zaczęła świecić lekkim, upiornym zielono-fioletowym blaskiem, jak zauważył, i widok ten przyprawił go o mdłości.

Usiadł i wpatrywał się w swoje dłonie. Obie świeciły – prawie niezauważalnie, oczywiście – ale kiedy nimi machał, mógł je zobaczyć, nawet w ciemności. Zaś rękaw jego tuniki, który powinien być ciemno niebieski, przybrał okropny łososiowy kolor. Wtedy, jak pędzący statek wyłaniający się gwałtownie z mgławicy, potknął się o niego jakiś człowiek, mieniący się bladymi światłami o wielu kolorach, niemalże upadł – i zataczając się stanął nad nim.

Elgar widział to wszystko i nie przejmował się, i zdawał sobie sprawę z tego, że się nie przejmuje. To nieprzejmowanie się sprawiało, że poczuł się głupio. To nie jest w porządku... Powinno mi zależeć… duchy depczące człowieka w taki sposób… Tyle, że ja też jestem duchem. Och, teraz to widzę… promieniuję… ale zaraz! Takie miały być objawy amnezji – przypuszczalnie… niech to diabli… co zapomniałem? Jestem Elgar, i podjąłem środki ostrożności… za godzinę skończymy z tymi skafandrami… sprowadzajcie te swoje mgły…

ROZDZIAŁ XII

ZAPOMNIENIE

W śluzie statku było ciemno. Daxon wepchnął Elgara przed sobą przez wewnętrzne wrota i ruszył korytarzem w kierunku sterowni, obserwując go uważnie. Nagle, dokładnie tak jak się spodziewał, Elgar obrócił się.

— Co u diabła? Czy to jakiś sen – czy co? — i potarł brodę, zdziwiony. — Przecież przed chwilą goliłem się w naszym mieszkaniu u Tutla. Jak się tu znalazłem?

Wtedy zauważył wyposażenie pancerza kosmicznego Daxona.

— Czy to maskarada? Jakiś żart?

— Spokojnie, stary — powiedział Daxon, zdejmując hełm. — Dostałeś trochę po głowie, ale teraz jesteś już cały i zdrowy. Chodźmy do sterówki, a opowiem ci całą historię.

Elgar ruszył przed siebie do znanej sobie sterówki, zaintrygowany. Jeden ze znajdujących się tam marynarzy, pełniący wachtę, przywitał się z nim, ale nic więcej.

— Zagrajmy scenkę: ja jestem lekarzem, a ty pacjentem — zaproponował Daxon, wygrzebując się z niewygodnego skafandra. — Powiedz mi – co dzisiaj robiłeś?

— Skończ z tymi żartami. Dobrze wiesz, co dzisiaj robiłem – właśnie skończyłem ci o tym opowiadać. Byłem w bibliotece, przekopując się przez historię XV Ery.

— Tak? A wczoraj?

— No cóż, rano poszedłem do Głównego Oddziału Konserwacji i rozmawiałem tam ze starym doktorem Haarsnem. Potem, po południu, siedziałem w bibliotece, jak zwykle – kolejna porcja historii do przejrzenia. Wczoraj wieczorem graliśmy z Tutlem w *tuku-ht* i wygrałem dwadzieścia athanackich dolców. Powinieneś to zresztą pamiętać, przecież tak mocno jęczałeś z powodu przegranej.

— To wszystko, co chciałem wiedzieć. No dobrze. Teraz weź się w garść i przyjmij na klatę parę złych wiadomości. Jak na lekarza, z pewnością zrobiłeś z siebie niezłe widowisko. Miałeś nas chronić przed amnezją i innymi dziwacznymi dolegliwościami tej zwariowanej planety. A ty co zrobiłeś? Sam się zaraziłeś!

— To, co wydaje ci się, że było wczoraj, miało miejsce ponad tydzień temu – dokładnie mówiąc dziesięć dni. Od tego czasu wiele się wydarzyło. Ten statek, miasto, planeta – całe to cholerne ustrojstwo – znowu znalazło się w czarnej mgławicy. Na ile mogę powiedzieć, mieszkańcy oszaleli i

spędzają czas na błądzeniu w ciemnościach. Nie wydaje się, żeby im to jakoś specjalnie szkodziło, więc nie spędza nam to snu z oczu.

— Ale ty – ty, który widziałeś, że to się zbliża – uprzedzałeś nas – ostrzegałeś nas – zrobiłeś te skafandry. Ty dałeś ciała. Zgubiłeś się na dwa dni. I uwierz mi, odnalezienie twojej osoby było ciężkim orzechem do zgryzienia. Dzisiaj cały dzień przesiedziałem w jednej z tych budek z jedzeniem, bo zauważyłem, że nawet jeśli te dziadki zapominają o wszystkim, to przynajmniej pamiętają o jedzeniu. I tak oto pojawiłeś się, tak jakby oszołomiony, po czym chwyciłeś paczkę żarcia z pojemnika i flaszkę soku z tori-jagód, jak jeden z tubylców.

— Podszedłem i zacząłem z tobą rozmawiać. Poznałeś mnie bez problemów. Powiedziałeś coś o tym, jak zabawne było to, gdy Ronny zaczął szaleć z tą sprawą przetrwania i ściąganie przez niego wszystkich ludzi… pamiętasz to?

— Przetrwania? Ściąganie kogo? Nie. Ani też tej całej sprawy z magazynem żywności.

— Tak czy inaczej, zachowywałeś się jakbyś był trochę walnięty. To co mówiłeś o Ronnym, urwało się wpół słowa. Zacząłeś jeść, jakby to była jedyna rzecz na świecie. Potem pociągnąłem cię za sobą. Szedłeś bez oporu, paplając od czasu do czasu o czymś, co według ciebie wydarzyło się przed chwilą. Ale za każdym razem kiedy to robiłeś, było to coś innego – przesuwając się zawsze trochę bardziej w przeszłość. W tej chwili to już dziesięć dni.

— No dobrze. Teraz, kiedy znowu jesteś sobą, mam zamiar zdać ci relację z tego, co się wydarzyło podczas twojej nieobecności. Potem możesz zaprząc swój medyczny umysł do pracy i powiedzieć nam, jaka jest odpowiedź – jeśli w ogóle jakaś istnieje.

Daxon opowiedział o swojej walce w korytarzu Świątyni. Walczący dziadkowie pokonali go w końcu, musieli go znokautować, bo gdy odzyskał przytomność, znajdował się w jakimś pomieszczeniu w innej części Świątyni. Był związany, lecz razem z nim w pomieszczeniu siedział kapłan, który zapisywał coś w księdze. Na jego prośbę kapłan popatrzył na zegar, po czym podszedł do niego i go uwolnił.

Na kolejne żądanie, aby wypuścić go na zewnątrz, kapłan powiedział tylko: „Jak chcesz" i poprowadził go korytarzem. Wskazał drzwi, po czym zaczął się wycofywać. Wzbudziło to podejrzenia Daxona. Wcześniej stawiali tak zaciekły opór, a teraz ich przedstawiciel był absolutnie skłonny wypuścić go na pierwsze żądanie. Daxon nalegał, by ksiądz otworzył mu drzwi, a gdy starzec zaczął okazywać oznaki przerażenia, złapał go i związał.

Podejrzewając, że te drzwi prowadzą w jakąś pułapkę, Daxon pośpiesznie obszedł budynek w poszukiwaniu innych wyjść i innych kapłanów. Nie znalazł ani jednego, ani drugiego. Większość budowli wypełniały niekończące się rzędy skrzyń z dokumentami lub półki z oprawionymi manuskryptami. Dopiero na ostatnim piętrze odnalazł

pomieszczenia mieszkalne kapłanów, ale wyglądały one jakby je ewakuowano. W górnym korytarzu usłyszał zgrzyt unoszących się zapadkowych drzwi, a następnie stukot pustego wiklinowego kosza zrzucanego ze stromych schodów, które do nich prowadziły. W ślad za koszem, pojawił się człowiek w skafandrze kosmicznym, najwyraźniej poruszający się z dużym trudem, który zaczął schodzić po schodach, przytrzymując się obiema rękoma ich poręczy.

Myśląc, że to któryś z kompanów ze statku przybył mu na ratunek, Daxon podszedł do tego człowieka. Nie uzyskawszy od niego żadnej zrozumiałej odpowiedzi, zerknął w szkło hełmu i zobaczył, że to ktoś zupełnie mu obcy. Udało mu się ściągnąć z niego skafander kosmiczny. Był to kolejny z kapłanów. Podobnie jak w przypadku pierwszego, Daxon pozostawił go związanego i choć oględziny wykazały, że kombinezon nie pochodził z *Thubana*, założył go na siebie i wspiął się na dach, by zobaczyć, co kombinowali kapłani.

Pierwsze co go uderzyło, była to ciemność. Słońce zniknęło, a w górze unosiły się czarne tumany mgławicy. Gdy jego oczy przyzwyczaiły się do mroku zauważył, że znajdująca się obok niego kopuła Świątyni mieniła się, podobnie jak kadłub *Thubana*, ale jasno-słomkowym kolorem. Stwierdził, że musiał wydostać się na płaski dach jakiejś przybudówki do Świątyni, prawdopodobnie o klasztornym charakterze.

Wokół całego dachu na leżankach spoczywały setki starców – kapłanów – w tym samym stanie ogłupiałego letargu, w którym później miał odnaleźć Elgara. Wtedy zrozumiał cel wizyty człowieka, którego skafander nosił na sobie. Na niskim stoliku leżały paczki z jedzeniem, niezbędne racje żywnościowe Hygonian przebywających w ciemnościach. Kapłani również poddawali się odmładzaniu, z tą jednak różnicą, że najwyraźniej odbywało się ono pod jakąś kontrolą. Pozostawili co najmniej dwóch ludzi, na straży na dole.

Kiedy zszedł na dół, drugi z kapłanów, których spotkał w budynku, błagał go o uwolnienie i zwrot skafandra. Daxon rozwiązał go, lecz odmówił zwrotu pancerza kosmicznego. Szlochając i załamując ręce, kapłan błagał, jęcząc, że cała ich cywilizacja jest zagrożona. Po krótkiej rozmowie, podczas której obiecał, że wróci później, jeśli stwierdzi iż jego koledzy ze statku przetrwali bez szwanku, Daxon pospieszył na dół. Rozwiązał tam pierwszego z kapłanów i wyszedł przez drzwi, które mu początkowo pokazano.

Przedostanie się do mieszkania Tutla nie było łatwe, gdyż zrobiło się zupełnie ciemno, zaś ulica pełna była oszołomionych wędrowców, jednak udało mu się to bez większych problemów. Znalazłszy tam oba skafandry, wiedział już, że Elgar padł ofiarą tłumu w Świątyni, albo mroku na zewnątrz. Daxon wrócił do Świątyni i jeszcze trochę pomęczył obu przerażonych kapłanów, lecz ci zarzekali się, że zatrzymali tylko jednego człowieka – Daxona. Ponieważ zasięg widoczności rzadko był większy niż mniej więcej jard, Daxon zrezygnował na razie z poszukiwań.

Przedzierając się przez mgłę, wpadając na błąkających się bez celu Hygonian, dotarł w końcu do statku i poinformował pozostałych o sytuacji. Wszyscy, z wyjątkiem jednego, który pozostał na pokładzie, założyli na siebie pancerze kosmiczne i wrócili do miasta. Tam, jako najskuteczniejszy sposób poszukiwań, rozproszyli się i pilnowali magazynów z żywnością. Pozostali członkowie załogi wciąż tam byli, mając nadzieję, że uda im się zgarnąć kapitana Yphona, wiedząc, że musi on coś jeść, tak jak reszta.

Elgarowi trudno było przyjąć do wiadomości wszystko, co mu powiedziano. A przecież wiedział o amnezji; widział, jak przydarzyła się ona kapitanowi. Ale nawet wtedy, przyjmując każde słowo, które Daxon przed chwilą mu przekazał, jako niezaprzeczalną prawdę, nie był w stanie poczuć, że wydarzenia z tych kolejnych dni, przeżytych przez niego świadomie, a potem zapomnianych, były rzeczywiście częścią jego własnego doświadczenia.

Epizod z próbą przetrwania, ich wizyta u kapitana, przygotowywanie skafandrów kosmicznych, końcowe ceremonie w Świątyni i późniejsza walka z tłumem: te rzeczy brzmiały wiarygodnie, lecz dla niego nie bardziej realne niż gdyby wyczytał je w książce. Brał udział w akcji, to jasne, ale tylko jako postać.

— Pamięć — mruknął doktor Elgar, zamyślony, — jest cholernie cennym atutem, cenniejszym niż kiedykolwiek bym to pomyślał.

ROZDZIAŁ XIII

NEGATYWNE ŚWIATŁO

Gdy nieco odpoczęli, a Daxon uznał, że w pełni doprowadził Elgara do porządku, wcisnęli się z powrotem w swoje skafandry i ruszyli do miasta, aby pomóc Ronny'emu w odnalezieniu kapitana. Wzięli ze sobą kilka mocnych latarek ręcznych, myśląc, że będą one przydatne, ale ku ich rozczarowaniu okazało się, że nie były. Mgła, choć chciwie rzucająca się na słabą, fosforyzującą iluminację, którą czerpała z każdego obiektu, zdawała się mieć dosyć niski punkt nasycenia. Promienie latarek oświetlały dalszą drogę na odcinku zaledwie paru stóp. Poza tym, mgła jak się okazało, odbijała światło jako ciemny karmazyn, tworząc skuteczną oślepiającą zasłonę, skrywającą wszystko co było dalej. Musieli więc wyłączyć latarki.

Zatrzymali się na estakadzie, żeby odetchnąć chwilę nad laguną, nad którą była ona przerzucona. Jesienne korony drzew w parku, który leżał nad wodą, jeszcze kilka dni temu brązowe i czerwone, teraz były ledwo widoczne jako zielone, o jaskrawym odcieniu, nawet pomimo tego, że natężenie światła było bardzo niewielkie. Przez mrok nie byli w stanie dostrzec wody, lecz kierując się zasadą barw dopełniających, którą zdawała się spełniać każda inna substancja, przyjęli, że powinna być ona żółta.

— Dowiedziałem się, do czego miał być przeznaczony ten cały deluminant — zauważył Daxon. — Pomimo wszystko ma on jednak jakieś zastosowanie. Te kule, które umieścili na latarniach, świecą teraz na biało. Nie są one zbyt przydatne jako oświetlenie, ponieważ gaz mgławicowy jest tak bardzo chłonny, lecz pozwalają one przynajmniej na wybór kierunku poruszania się. Wewnątrz domów, tam gdzie porozwieszali czarną tkaninę, widać wszystko całkiem dobrze. Jednak ostrzegam, nie dotykaj niczego, co wygląda na białe. Powietrze jest dosyć ciepłe, ale te rzeczy są naprawdę lodowate. Ciekawe dlaczego?

— Tutaj na dół tak naprawdę nie mogły dotrzeć żadne gazy mgławicowe — spekulował Elgar. — Atmosfera jest o wiele za bardzo zwarta, aby mogły one przeniknąć poniżej stratosfery. Ale są one wszędzie dookoła planety, a ujemny gradient jest tak ogromny, że materia na powierzchni zachowuje się tak, jakby była w nich zanurzona.

— Cały czas myślałem, że to odwrócenie metabolizmu wynika z negatywnej natury światła. Pod wpływem zapotrzebowania na oddanie światła, które wcześniej pochłonęła, komórka mogłaby je wyprodukować i dostarczyć, przez odwrócenie procesu swojego rozwoju. W przypadku materii nieorganicznej, takiej jak te czarne kule, mamy inne warunki. Żadne rozmiary ekspozycji na światło nie dałaby im możliwości

zmagazynowania światła. Pochłaniają je, zamieniają na ciepło i jako takie wypromieniowują. A jeśli umieści się je w silnym polu negatywnym, takim jak to, to jaka będzie ich naturalna reakcja? Wszystko odwrócone do góry nogami, rozumiesz – musimy to zaakceptować.

— No cóż, domyślam się, że absorbowałoby one to ciepło i wypromieniowywały je jako światło — zaryzykował Daxon. — Ale posłuchaj, skoro te stare dziadki żyją wstecz, odwijając tok życia do tyłu - dlaczego muszą jeść? Dlaczego nie produkują jedzenia i nie wydalają go z siebie w dawnych porach posiłków? Co?

— Twoja logika jest bez zarzutu — zaśmiał się Elgar — lecz przyjąłeś błędne założenia. Praca, nieważne w jakim kierunku jest wykonywana, wymaga dostarczenia energii. Stocznia wymaga energii zarówno do rozebrania statku, jak i do jego montażu. Tarcie działa przeciwko tobie, niezależnie od tego czy ciągniesz pień w jedną stronę, czy z powrotem. Tak więc – komórka, czy to ewoluująca, czy też degenerująca się, potrzebuje pożywienia do wykonania pracy, którą wykonuje w trakcie procesu reorganizacji.

Mogliby tak rozmawiać dłużej, lecz w tej samej chwili usłyszeli jakieś zamieszanie od strony miejskiego końca estakady. Wsłuchując się w jego odgłosy, szybko wyłowili stentorowy głos kapitana Yphona, wściekający się i ciskający groźby. W przerwach między nimi pojawiały się głosy bardziej stonowane, cisza, a następnie ponowne wybuchy gróźb. Cała ta grupa ludzi zbliżała się. To Ronny wraz z kilkoma marynarzami prowadzili kapitana do domu.

Z tumanów mgły wyłoniła się najpierw krępa, mocno zbudowana postać starego kapitana. Zataczał się jak pijak lawirujący w bezcelowym chodzie, przewalając się z boku na bok, i od czasu do czasu próbując zawrócić z zupełnie inną stronę. Jego purpurowa szata arystokraty lśniła w ciemnościach jak złoto. Za każdym razem gdy ślepe próby zmiany kierunku chodu przez kapitana, prowadziły go z powrotem w stronę miasta, trzej ludzie podążający za jego plecami zawracali go i popychali do przodu. Wtedy kapitan dawał upust swemu gniewowi, wrzeszcząc, że nie życzy sobie ingerencji żadnych młodych adeptów. I prawie w tej samej chwili zapominał o wszystkim i ruszał potykając się na oślep, do przodu.

Niczym grupa poganiaczy szalejącego byka, marynarze z *Thubana* prowadzili go w szerokim półkolu, kierując nim na zakrętach, nieustannie zaganiając do domu i do bezpiecznego miejsca. Elgar nie mógł nie uśmiechnąć się do siebie w ciemnościach na widok indywidualistycznego nastawienia starca. Przyzwyczajony do dowodzenia, lecz nie do panowania nad sobą, miał za złe każdą ingerencję, której nie był w stanie zrozumieć. Jednak nie miało to żadnego znaczenia. Natychmiast zapomniał o każdym epizodzie, jaki miał przed chwilą miejsce.

Po znalezieniu się na statku, Yphon, zareagował zgodnie z oczekiwaniami, zrobił się normalny w momencie wejścia do dobrze oświetlonego wnętrza. Wyraził zwykłe zdziwienie z powodu nagłego

znalezienia się w niespodziewanym otoczeniu. Wydawało mu się, że ledwie chwilę wcześniej leżał na dachu z założonymi goglami i dyktował. Podobnie jak w przypadku Elgara, data tego wydarzenia została ustalona na dziesięć dni wcześniej.

Potem nastąpiło to, co stawało się rutynową procedurą – dyskusja mająca przekonać ofiarę, że doznała amnezji. Na szczęście niezatarte ślady na rękach i klatce piersiowej były dowodem nie do odparcia. Wpatrując się w nie z niedowierzaniem, z coraz większą cierpliwością kapitan zaczął wsłuchiwać się w przekazywane mu szczegóły.

Z charakterystycznym dla siebie wigorem, w chwili gdy poznał już wszystkie fakty, zaczął agresywnie planować, w jaki sposób uciec z planety, którą wszyscy pragnęli opuścić, pomimo jej kuszącej obietnicy nieśmiertelności. Było oczywiste, że Hygonianie albo nie mogli, albo nie chcieli im pomóc. Najlepszym dla nich wyjściem było pomóc sobie samym. Czas trwania tego mrocznego okresu mogli tylko próbować odgadnąć. Nikt nie chciał siedzieć bezczynnie i czekać.

— Ronny — zdecydował kapitan — mówi pan, że jest tu statek z rudą telludium. Proszę ją zabrać. Mają tu też elektrownię. Niech pan złamie plomby i ją uruchomi. Zbudujcie piec. Zredukujcie telludium. My sami możemy zrobić formę i odlać nowego pająka. Potem po odrobinie spawania i ręcznej roboty, myślę, że uda nam się podnieść statek – mając wystarczająco dużo czasu.

— **C**zas — zauważył sucho dr Elgar, — to jedyna rzecz, której mamy w nadmiarze. Tutaj, gdzie moglibyśmy stać się nieśmiertelni, gdybyśmy się na to zdecydowali, czas nie ma żadnego znaczenia. Więc pozwólmy mu działać.

— Co pan przez to rozumie, Elgar? — spytał ostro Yphon. — Nie pozostało mi zbyt wiele czasu – ani też Angusowi, biedaczynie. A pana miejscowi lekarze już skazali. Wydaje mi się, że czas jest istotą naszej nadzwyczajnej sytuacji.

— Tak by było, gdybyśmy poddali się tak głupio siłom natury, jak tutejsi starzy ludzie. Ale przy starannej kontroli możemy przecież sprawić, że czas stanie w miejscu, cofnie się lub przesunie do przodu, w zależności od potrzeb.

— Uprzejmie proszę odłożyć na bok te zagadki, panie doktorze. Proszę przedstawić swoje stanowisko.

— Bardzo dobrze, panie kapitanie, będę mówił nie owijając w bawełnę. Ronny mówi, że przy tak niewielkiej liczbie ludzi i takich warunkach oświetleniowych, z jakimi mamy do czynienia, nie jest w stanie doprowadzić Kinetogenu do stanu używalności w czasie krótszym niż pięć lat – być może nawet dłuższym. Telludium, jak pan wie, jest metalem bardzo trudnym do obróbki, nawet w idealnych warunkach. A potem czeka nas dziesięcioletnia podróż z powrotem na Ziemię. Nie da pan rady, panie kapitanie, w obecnym stanie. Możliwość odmłodzenia jest tuż za drzwiami, a przynajmniej pan, musi sobie tutaj na nie pozwolić.

— Nie! — wykrzyknął kapitan. — Nie w taki sposób. Jeszcze nigdy się przed niczym nie uchylałem – jeśli przeżyłem swój czas i mam umrzeć, proszę mi na to pozwolić. Daxon może się wszystkim zająć. A ja nie chcę nieśmiertelności za cenę utraty samego siebie. Pchi! Poczytać sobie o tym, co człowiek robił w swym życiu – żeby ktoś mu o tym opowiedział. Wielkie Nieba! Czy to jest życie? — Parsknął z obrzydzeniem. — Przecież, na dzwony piekieł – na tego rodzaju podstawach każdy cholerny głupiec, który potrafi czytać, mógłby sobie wmówić, że przeszedł przez tyle reinkarnacji, ile zostało opublikowanych książek biograficznych. Nie! Zrobię wszystko, co będę w stanie, do końca. To wszystko, o co ma pan prawo mnie prosić.

Yphon, z ostatnim chrząknięciem oburzenia, zapadł w gniewne milczenie. Niezwykła dla niego wściekłość na swych dręczycieli, z czasu długiego spaceru z magazynu z żywnością, wciąż w nim tkwiła. Zapomniał już o całej tej prowokacji, ale krew i adrenalina w jego żyłach, nie.

Łagodnie, lecz z uporem, Elgar kontynuował realizację swoich zamiarów.

— A co z pańskim mottem „jeden za wszystkich - wszyscy za jednego", panie kapitanie? — zapytał łagodnie. — Czy nie jesteśmy wszyscy ludźmi z jednej łodzi, towarzyszami ze statku? To wymaga pracy zespołowej od nas wszystkich. Czy chce nas pan zawieść?

Yphon warknął. Wiedział, co się kroi. Sam korzystał z tego rodzaju argumentów, żądając gotowości na śmierć, w razie konieczności. Teraz, na tej postawionej na głowie planecie, jego ludzie zażądali od niego życia. A on rządził sobą w równie twardy sposób, jak swymi podwładnymi. Wzywany w imieniu statku, wiedział, że będzie musiał się zgodzić… Elgar wciąż mówił.

— Ja też byłem w tej mgle, panie kapitanie. To będzie równie proste jak zażycie środka znieczulającego. Godziny, dni, wieki, jak sądzę, mijają tam jak mgnienie oka. Trzeba tylko spać na dworze. Będziemy pana pilnować, a kiedy nadejdzie czas, zabierzemy pana do domu. To będzie oznaczało tylko sekundę zapomnienia, jeśli chodzi o pana. Potem wróci pan tutaj, cały i zdrowy, gotów do pracy.

Kapitan popatrzył na niego, przesunął się niespokojnie w swym fotelu. Nie mógł odmówić. Ci ludzie właśnie wyciągnęli go z takiego właśnie snu – jedynego środka, który jeśli pozwoliłoby mu się trwać bez kontroli, mógłby cofnąć go do stanu dzieciństwa.

— Obiecajcie mi — oznajmił szorstko, w milczącej akceptacji — że sprowadzicie mnie z powrotem jak najszybciej. Nie chcę tracić ani jednego dnia więcej, niż to jest konieczne – ani też wracać do czasów, w których was nie znam. Przeżyłem ten rejs; jest on częścią mojego ja. I nie chciałbym tego stracić. Dajcie mi też czas na przygotowanie. Chciałbym zapisać w swym własnym pamiętniku, własnoręcznie, kilka bardzo osobistych rzeczy. Rzeczy, których nie mógłbym wam powiedzieć, a i wy nigdy byście mi o nich nie powiedzieli – rzeczy, których nie mogę zapomnieć. To będzie święta książeczka mej pamięci, którą wam powierzę.

W tym kręgu ludzi kosmosu o ponurych twarzach, stojących wokół pomieszczenia sterówki, nie było udawania twardości charakteru. Ani wilgotne oko, ani skrycie przełknięte łzy nie przyniosły tym razem zwykłych kpin, jakie mogłyby wywołać przy innej okazji.

— Myślę, że jesteśmy na tyle samolubni, panie kapitanie — odparł Elgar głosem bez śladu rozchwiania, — aby chcieć pana zachować takim, jakim pana znaliśmy. Możesz pan zanurzyć się w to szaleństwo z absolutnym zaufaniem.

ROZDZIAŁ XIV

MŁODOŚĆ DLA KAPITANA

Praca w ciemnościach Hygonu okazała się wyjątkowo trudna. elektrownię udało im się znaleźć bez większego wysiłku, lecz wzniesione wokół niej barykady były skonstruowane tak solidnie, że musieli wrócić na statek po narzędzia do ich zniszczenia. Za nimi napotkali drzwi z imponującą pieczęcią i ogłoszeniem wzywającym do rzucenia klątwy na każdego, kto wejdzie do środka przed datą wyznaczoną przez kapłanów.

Gdy znaleźli się na podłodze zagraconej hali elektrowni, nawet tak doświadczony inżynier jak Ronny uznał, że prześledzenie takiego mnóstwa przewodów i połączeń między znaczną liczbą generatorów, pomp, transformatorów i tablic rozdzielczych, jest prawie niemożliwe. Chociaż wszystko na Athanacie otoczone było dziwną poświatą, to jednak niczego nie było widać w całości – cała natura zmieniła się w układankę z kawałków pastelowych światełek rozmieszczonych w obrębie trzy- lub czterostopowego koła wokół obserwującego ją człowieka. Jednak po tygodniu cierpliwych poszukiwań Ronny odnalazł w końcu wszechobecną szafkę ze szczegółowymi instrukcjami. Ograbiając ją z zawartości, zaniósł wszystko na *Thubana*, w celu przestudiowania. Plany, szczegółowe schematy maszyn, struktura przewodów i rur, instrukcje obsługi napisane w najprostszym możliwym języku – było tam wszystko. Mając to w ręku, nawet średnio inteligentne dziecko byłoby w stanie uruchomić elektrownię – w świetle słońca.

Podczas gdy Ronny błądził w ciemnościach wnętrza elektrowni, Daxon i jego ludzie włamali się do muzeum by przeczesać znajdujące się w nim gabloty w poszukiwaniu rozmaitych drobnych akcesoriów i narzędzi, wypisanych im przez Ronny'ego. Następnie zajęli się cięższym zadaniem, jakim było rozładowanie poobijanego *Gnata*. Trasa po trasie, zataczając się przez mrok pod ciężarem sześćdziesięciokilowych worków, przetransportowali tonę cennego telludium i zeskładowali je przy zewnętrznych drzwiach elektrowni.

Elgar tymczasem dotrzymywał towarzystwa kapitanowi Yphonowi. Podczas gdy ten ostatni pracowicie spisywał swoje wspomnienia, Elgar po cichu zrobił dla niego specjalną uprząż. Gdy w końcu Yphon z rezygnacją oznajmił, że jest gotowy, Elgar wyprowadził go przez port wejściowy w ciemność. Niechroniony przez pancerz kosmiczny Yphon natychmiast dostał się pod hipnotyczne działanie promieniowania negatywnego światła. Bezradny i pozbawiony świadomości jak somnambulik, nie stawiał żadnego oporu, gdy Elgar założył mu przygotowaną uprząż i przywiązał go do palika, jak konia na pastwisku. Wystawiono mu wygodną leżankę i

wyładowany jedzeniem taboret. Elgar starannie zanotował godzinę i dzień w dzienniku pokładowym *Thubana* oraz poinstruował marynarzy wachtowych, jak mają się opiekować kapitanem.

Postanowiono, że Angusa na razie można pozostawić samemu sobie. Był już mocno zaawansowany wiekowo i nie wydawało się możliwe, żeby był w stanie przetrwać wiele kolejnych miesięcy życia. Przez ponad pół wieku towarzyszył Yphonowi na każdym statku, zawsze służąc kapitanowi jako jego steward. To za zgodą Yphona pozostawili go w ciemności. Oznaczony był pełną informacją, na modłę Hygonian, nie powinno więc być problemu z jego identyfikacją w przyszłości, niezależnie od tego, jak bardzo młody mógłby się stać.

Minął miesiąc, zanim Ronny był gotów do rozpalenia kotłów w elektrowni. Gdy tylko pojawiła się para, podłączył generator i włączył światła. Przy zabarykadowanych oknach, sztuczne światło szybko nasyciło uwięzioną w środku atmosferę. Przez kilka minut elektrownia była wypełniona czerwoną mgłą, lecz szybko się ona przerzedziła. Tak więc, w tym miejscu, podobnie jak na pokładzie *Thubana*, mieli normalne światło. Od razu grupa marynarzy z maszynowni weszła do komór ogniowych baterii zapasowych kotłów i zaczęła wyrywać z nich okładziny z cegły ognioodpornej. Te ułożyli w niezajętym miejscu na głównym poziomie, gdzie zamierzali postawić swój piec elektryczny.

Dr Elgar i Daxon, nie mogąc w tym wiele pomóc, skierowali swoje działania w stronę Świątyni. Weszli do środka przez te same drzwi, którymi Daxon ją opuścił. Wewnątrz zastali sale słabo oświetlone przez kilka świec, a na najwyższym piętrze znaleźli śpiącego jednego z kapłanów.

Kiedy go obudzili, stanowił on obraz smutku i rozpaczy. Jego towarzysz próbował wykonać skafander kosmiczny, który miał zastąpić ten zabrany przez Daxona. W takim prowizorycznym stroju powstrzymującym promieniowanie, udał się na górę z koszem jedzenia dla braci przechodzących na dachu proces odmładzania. Jednak już nie wrócił. Jakaś szczelina w jego zaimprowizowanym pancerzu ochronnym musiała zacząć przeciekać i pozwoliła na przedostanie się promieniowania, co spowodowało u niego amnezję.

Udręka kapłana była tak wielka i tak szczera, że Elgar ze współczuciem wysłuchał jego apeli o zwrot skafandra. Kapłan obawiał się nie tego, że ludzie na górze umrą z głodu, lecz tego, że nie będą młodnieć w takim tempie, w jakim powinni. Źródło energii dla komórek ich ciał zostałoby odcięte, a ponieważ normalny metabolizm jest w wyniku zmniejszenia dopływu żywności zatrzymany, więc tak samo byłoby w przypadku odwrotnego. Wsteczny metabolizm ich komórek po prostu by się zatrzymał. Nie promieniowali poświatą, lub promieniowali słabo, tak jak to robiła materia nieorganiczna, w wyniku czego na początku nowej ery byliby starzy – zbyt starzy, by przetrwać do jej końca. W konsekwencji

tego, wielu z nich umarłoby ze starości w połowie ery – haniebny los na Athanacie.

Co więcej, jak przekonywał kapłan, bez nadrzędnej wiedzy kapłanów, która by prowadziła odmłodzonych, w pierwszych latach Świtu, ludzie będą robili złe rzeczy. Odmalowywał im obraz świata dzieci, bawiących się bezmyślnie na ulicach, ciskających kamieniami w okna, wzniecających pożary. W tym okresie nie byłoby dorosłych, nie byłoby nikogo, kto mógłby napomnieć bawiące się dzieci – miasto zostałoby zrujnowane, byłoby wiele przypadkowych zgonów, a przy braku silnej ręki przewodniej, większość ludzi zaczęłaby głodować. Taka klęska cofnęłaby ich cywilizację o wiele, wiele epok.

— A niech tam, oddajmy im je — zasugerował Daxon, cała jego wrogość zniknęła. W końcu Hygonianie potraktowali przybyszy z *Thubana* zupełnie przyzwoicie. Byłoby rzeczą okrutną i niepotrzebną, aby ranić ich tak głęboko. Ziemianie chcieli jedynie móc opuścić to miejsce – powrócić do domu.

Jednak chociaż nastawienie Elgara było również bardzo podobne, dostrzegał on tutaj doskonałą okazję do ułożenia brakujących części układanki.

— Pod jednym warunkiem — powiedział surowo do błagającego ich kapłana. — Zabierz nas do swojego Najwyższego Kapłana – chcę z nim porozmawiać.

Twarz kapłana z początku rozjaśniła się, przez miriady zmarszczek wokół jego oczu przebiła się radość, jednak kiedy pojął stawiany mu warunek, jego uniesienie opadło. Odejście od ustalonego dla Najwyższego Kapłana harmonogramu było wielkim wykroczeniem – zakłócanie Jego Świątobliwości procesu rejuwenacji było wręcz świętokradztwem. Obawiał się gniewu przełożonego.

— O.K. — wzruszył ramionami Daxon, chwytając okazję w lot. — Nie ma spotkania z grubymi rybami – nie ma skafandra!

Pomarszczony mały kapłan zadrżał. Dylemat jaki przed nim stanął, był straszny. Oto byli dwaj młodzi brutale, którzy trzymali w rękach samo sedno istnienia, niemalże, jego rasy. Ponieważ był taki kruchy i słaby, nie był w stanie im się oprzeć. Czy miał udać się do swego szefa po radę? Jego wewnętrzna walka była oczywista dla dwóch młodszych ludzi, którzy patrzyli na niego kamiennym wzrokiem.

— Pójdę po niego… ale muszę mieć skafander… Nie dałbym rady wrócić. Ale nie wolno wam próbować rozmawiać z nim teraz… nie będzie wiedział kim jesteście… nie będzie pamiętał o waszym statku. Lepiej będzie, jeśli wrócicie za kilka dni; wtedy będzie miał czas na przestudiowanie akt, będzie wiedział wszystko o waszej sprawie i co wam powiedzieć.

W czasie gdy kapłan odszedł, w towarzystwie Daxona, który miał dopilnować by nie spłatał im jakiegoś psikusa, Elgar rozważał, czy powinien wymusić tę rozmowę teraz, czy nieco później. Z jednej strony

miał przewagę zaskoczenia, ale z drugiej chciałby poznać podstawowe reakcje kapłaństwa na nowoprzybyły statek kosmiczny. Tego nie można było dowiedzieć się od razu, bo ciemność trwała już od miesiąca. Z jego dotychczasowych obserwacji wynikało, że stosunek jej oddziaływania, wynosi około trzy do jednego… to znaczy, że na każdą jednostkę czasu spędzoną pod wpływem ciemności, wymazywana jest pamięć trzech takich jednostek. Przy takim założeniu, gdyby Najwyższy Kapłan został wyprowadzony na światło obecnie, wyobrażałby sobie, że znajduje się w okresie o kilka tygodni wcześniejszym niż lądowanie *Thubana*. Elgar byłby więc dla niego zupełnie obcym człowiekiem i trzeba by stracić wiele czasu na wyjaśnienia.

Musiał jednak pamiętać, że kapłani, choć słabi fizycznie, byli liczni i bardzo przebiegli. Walka w korytarzach Świątyni (o której dowiedział się z relacji Daxona) nauczyła go szacunku do nich. Istniała szansa, że jeśli odłoży rozmowę na później, to po powrocie zastanie zastawioną na siebie jakąś pułapkę.

Jego przemyślenia przerwał hałas przy znajdującym się nad nim włazie i zerknął w górę, by zobaczyć, jak dwie ubrane w pancerze ochronne postacie wprowadzają na drabinę wysokiego, wychudzonego człowieka. Ten ostatni, gdy tylko jego stopy dotknęły podłogi pod drabinką, a procesy myślowe ponownie ruszyły do przodu, wyprostował się wyniośle i popatrzył gniewnie na Elgara.

— Jakim cudem ten barbarzyńca znalazł się w naszych świętych progach? — zawołał surowo, jakby oczekując, że jego sługusy rzucą się mu na pomoc.

Ale jego wystraszony podwładny, który zszedł za nim po drabinie, uchylił tylko hełm i szepnął mu coś niespokojnie do ucha. Najwyższy Kapłan słuchał, marszcząc czoło, a kiedy znów się wyprostował, jego wojowniczość zniknęła. Patrzył na Elgara w dostojnym milczeniu, czekając, aż ten się odezwie.

— Jesteśmy Ziemianami uwięzionymi na waszej planecie — wyjaśnił Elgar, decydując, że niewiele można zyskać rozmawiając w tej chwili. — Mamy zamiar ją opuścić. Wasi ludzie byli przyjaźni i naszym życzeniem jest odejść stąd przy jak najmniejszych szkodach dla was – być może nawet znajdziemy jakiś sposób, aby choć częściowo odpłacić wam za waszą gościnność. Wasze własne zapiski opowiedzą wam o nas. Za dwa dni wrócę, aby omówić z panem te sprawy.

W trakcie tej przemowy, Elgar studiował stojącego przed nim mężczyznę. Był to oczywiście człowiek o najwyższych zdolnościach osobistych i wielkim magnetyzmie. Bez wątpienia był prawdziwym władcą tego kraju. Wyraz jego twarzy, siłą rzeczy w tych okolicznościach, miał charakter z trudem tłumionego zdumienia, ale nie dało się ukryć przenikliwej inteligencji bijącej z jego rysów. Elgar jednak podjął decyzję nie na podstawie dokonanej oceny tego człowieka, ale pamiętając, że miał w swym ręku poważny atut – skafander kosmiczny kapłanów.

Mały kapłan został go pozbawiony, a Elgar miał zamiar przywrócić ten stan. Bez ochronnego skafandra nie można było wezwać tych, którzy pozostali na górze, ani też dwójka na dole nie będzie mogła wyjść na

ulicę. Groźba zatrzymania go na stałe powinna być świetną dźwignią przydatną do wyciągania informacji z tego wybitnego człowieka, który stał przed nim.

Najwyraźniej podobne myśli krążyły również po głowie człowieka, będącego jego przeciwnikiem, ponieważ uśmiechnął się on uprzejmie i oznajmił, że z przyjemnością przyjmie gości z Ziemi w dogodnym dla nich terminie.

ROZDZIAŁ XV

MARGINES ŻYCIA

Kiedy wymacywali sobie drogę przez ulice, po wyjściu ze Świątyni, Daxon był pełen pytań.

— Najbardziej mnie interesuje to, dlaczego zapominają? W porządku, myślę, że rozumiem twoją koncepcję odwrotnego metabolizmu, oraz tę część dotyczącą odmładzania się. Ale dlaczego kiedy człowiek robi się młodszy, musi stawać się głupszy? I nazywasz to amnezją – zawsze myślałem, że kiedy ktoś ma amnezję, zapomina wszystko.

— Pamięć, to prawdopodobnie pojęcie opisujące pewną grupę komórek w mózgu. W miarę jak osoba doświadcza różnych rzeczy i wrażenia zmysłowe docierają do mózgu, w komórkach zachodzą zmiany. „Przywołanie wspomnień" być może jest terminem opisującym przeglądanie tych komórek przez jakąś siłę percepcyjną w mózgu. Przez ich ewolucję – zachodzące w nich zmiany – siła percepcyjna wie, co się stało na zewnątrz. To zakłada istnienie komórek, które się różnicują i specjalizują, co jak wiemy robią nasze, w normalnej sytuacji.

— Odwróć teraz całe to działanie do góry nogami, jak jest tutaj, a wszystkie te operacje zostaną po kolei cofnięte. Komórki, w odwrotnej kolejności, zaczynają się upraszczać i… pfff! twoja pamięć ulatuje z wiatrem. Zapisane tam rzeczy nigdy nie miały miejsca, a przynajmniej nic ci o tym nie wiadomo. To jak zapisanie czegoś na kartce papieru, a potem wymazywanie tego słowo po słowie, zaczynając od ostatniego.

— No dobrze – mogę w to uwierzyć. Ale jest tu pewna trudna kwestia. Weźmy na przykład kapitana – weźmy też ciebie. Znałeś mnie, wiedziałeś wszystko o sobie – pamiętałeś swoją przeszłość, wiedzę medyczną, podróż tutaj – wszystko, aż do czasu poprzedzającego o dziesięć dni chwilę kiedy cię znalazłem. Dlaczego zachowywałeś się tak głupio? Dlaczego, stary? Byłeś kompletnie otumaniony. Urywałeś w środku zdania jak zamroczony pijak. Dlaczego nie byłeś chociaż tak samo mądry jak dziesięć dni wcześniej?

Elgar roześmiał się i odepchnął jakiegoś błyszczącego Higonianina, który właśnie na niego wpadł.

— Byłem, ale nie mogłem myśleć, nie bardziej niż ten tutaj dziadek. Moje wspomnienia były tam wszystkie, a przynajmniej większość z nich, ale miały one charakter statyczny. Myślenie, Sid, wierz mi lub nie, ma charakter dynamiczny – i co więcej, syntetyczny.

— Analityczny to ładne słowo w odniesieniu do umysłu, lecz prawda jest taka, że nie da się niczego przeanalizować bez wcześniejszej syntezy – trzeba mieć dane. Jeśli kiedykolwiek się dowiedziałeś, czym jest liczba

dwa, możesz dojść do tego, że cztery jest parą dwójek. Ale zajęłoby ci dużo czasu odgadnięcie, że cztery składa się z dwóch dwójek, jeśli nie miałbyś pojęcia, że ta mniejsza liczba istnieje. Mógłbyś się tego domyślić, tak jak to czynili nasi odkrywcy i naukowcy w większości spraw, a potem przy pomocy uporczywej pracy udowodnić to – ale nie byłoby to dla ciebie oczywiste od razu.

— Ci ludzie chwieją się i zataczają, bo nie wiedzą, dokąd chcą iść. Jeśli nawet komuś przyszło coś do głowy, chwilę wcześniej, to zapomina o tym, zanim zdąży zrobić drugi krok. Kiedy widzisz, że ktoś idzie prosto, to nie dlatego, że trzyma się jakiejś stałej idei – nie może jej posiadać. To się dzieje z tego powodu, że ta sama idea nieustannie powraca mu do głowy, jak na przykład głodnemu chęć znalezienia czegoś do jedzenia. Jest on poruszany przez serię impulsów, a nie przez jakiś stały popęd.

Skafander kosmiczny kapłanów Daxon zostawił w domu Tutla w dniu, w którym uciekł ze Świątyni. Zmienił go tam na swój własny. Wzięli go i zabrali ze sobą do Świątyni. Koło niej ukryli go poza zasięgiem każdego zbłąkanego Hygonianina, chowając ją za czarnym jak heban posągiem stojącym w niszy. W świetle dnia, jak przypuszczali, posąg musiał być z białego marmuru.

Znaleźli Najwyższego Kapłana w tych samych ceremonialnych szatach, które założył na rytuał krycia się przed słońcem. Jeśli nurtowała go niecierpliwość, to sprytnie to ukrywał, bo celowo odczekali jeden dodatkowy dzień, zanim się zapowiedzieli. Wręcz przeciwnie, był elegancki i uprzejmy w najwyższym stopniu. Młodszy kapłan usadził ich w wygodnych fotelach w czymś w rodzaju sali audiencyjnej i podał każdemu z nich pięknie zdobiony złoty puchar wypełniony rzadkim winem z jagód tori. Następnie dyskretnie wycofał się w kąt pomieszczenia.

Po wygłoszeniu formalnych powitań Kapłan czekał. To Elgar prosił o rozmowę.

Wprowadzenie doktora było krótkie. Stwierdził, że właśnie wyruszają z powrotem na Ziemię, a po przybyciu na miejsce oczywiście zdadzą relację z warunków panujących na Athanacie. Istniały pewne cechy miejscowego życia, które nie do końca rozumiano. Być może, w interesie jak największej poprawności raportu, Najwyższy Kapłan zechciałby wyjaśnić niektóre z tych kwestii.

Kapłan ukłonił się grzecznie, dając do zrozumienia, że zgadza się na to.

Ponadto, w ramach pomocy astrogacyjnej, załoga *Thubana* byłaby wdzięczna za dane, jeśli takie istnieją, dotyczące orbity Athanaty. Na te słowa Najwyższy Kapłan uśmiechnął się.

— Na szczęście mój asystent jest jednym z naszych astronomów.

Bez dalszych ceregieli, wysłał kapłana po żądane informacje. Następnie, z ujmującym uśmiechem, złączył czubki palców i zaczął mówić. Widać było, że jest albo życzliwie nastawiony do młodych oficerów, albo przynajmniej pragnie sprawić takie wrażenie.

— Od czasu naszego niedawnego spotkania, uważnie przeczytałem zapiski. Z zadowoleniem dowiaduję się, że dzięki własnej inicjatywie i energii udało się wam naprawić swój statek. Żałujemy waszego odlotu, gdyż tego rodzaju cechy są nam tutaj potrzebne. Zapewniam panów, że chcieliśmy wam pomóc, lecz nie było to możliwe. Podobnie, przyjęlibyśmy was jako obywateli, ale to również wydawało się niemożliwe, o czym wkrótce sami się przekonacie.

— Z tego, co dowiedzieliśmy się od waszego kapitana, wy, ziemscy kuzyni, poczyniliście znacznie większe postępy niż my. Widzę, że wpadliśmy u nas w pewną rutynę i mam nadzieję, że więcej spośród was dołączy do nas. Możecie panowie pomóc w tym, rozprzestrzeniając o nas dobre raporty. Nasza cywilizacja potrzebuje nowej krwi. Ale zobaczycie panowie, gdy mój syn wróci z diagramami, że nasze problemy są dość specyficzne, co tłumaczy niektóre nasze braki. Na szczęście udało nam się przekonać waszego kapitana i jednego z pozostałych, aby zostali z nami – ufam, że z korzyścią dla obu stron. Jeden z panów, jak przypuszczam, zastąpił go?

Daxon, bez zmrużenia oczu, przytaknął. Elgar wpatrywał się twardo we własne stopy. Wejście kapłana astronoma z naręczem książek i rulonem map, rozładowało powstałe napięcie. Rozłożył mapy na stole.

— Nie byliśmy w stanie wyliczyć całej orbity… tutaj tylko, od mniej więcej pierwszej ćwiartki Ery do końca… jak ona wygląda w ciemności możemy tylko interpolować. Mniej więcej połowa jest z pewnością poprawna. Zakładając jej symetrię, ta wykropkowana reszta może być przyjęta jako w przybliżeniu prawdziwa.

Daxon z niedowierzaniem wpatrywał się w wykres orbity.

Nigdy by nie uwierzył, że planeta mogła podążać taką trajektorią bez katastrofalnych zmian klimatycznych. Przypominała ona ściśle tę, która cechuje wielkie komety Układu Słonecznego – była niezwykle wydłużona – coś koło trzech miliardów mil długości. Punkt jej największego zbliżenia do słońca, odpowiednio korygując go o współczynnik aktywności słonecznej, był równoważny położeniu Wenus. Jej najbardziej zewnętrzna część musiała leżeć bardzo blisko zewnętrznego czoła mgławicy. Najwyraźniej osiemdziesiąt lat spędzała ona w zasięgu promieni słońca – zaś kolejne trzydzieści w ciemności. Trzydzieści lat!

— Dziwię się — stwierdził Elgar — że po napotkaniu tak dziwacznej planety, bez przygotowania czy ostrzeżenia, udało się wam w ogóle przeżyć.

— Opatrzność – szczęście – los. Proszę wybrać odpowiednie dla siebie określenie — odparł szczerze Najwyższy Kapłan. — Ci z *Gnata* nie mieli tyle szczęścia. Trafili na okres w ciemności.

— Byłem na *Night Dragonie*, w drodze na Tellunovą, aby objąć stanowisko wicekróla. Mówię oczywiście na podstawie zapisów, bo nic z tego nie pamiętam. Uznaliśmy mgławicę za niezbyt gęstą i nieszkodliwą. Leżała na naszej drodze, więc ją przecięliśmy. Spadliśmy na tę planetę tak

samo jak wy, z tą różnicą, że wtedy była ona tutaj… — i wskazał na miejsce z początku Ery, tuż po wyłonieniu się Athanaty z obłoku.

— Podczas przejścia przez zewnętrzną mgławicę nie tylko utraciliśmy pamięć, ale zrobiliśmy się znacznie młodsi, wielu z nas stało się dziećmi. W tamtych czasach loty kosmiczne były bardzo powolne, więc na szczęście na początku nie było wśród nas ludzi naprawdę młodych. Wyjątkowym zrządzeniem losu, nasz lekarz był w tym czasie chory na infekcję oka i musiał być trzymany w ciemnym pomieszczeniu. Uniknął efektu promieniowania i mógł przejąć dowodzenie po wylądowaniu. Statek, który leciał razem z nami, wpadł w mgławicę w niewielkiej odległości od nas, a ci, którzy znajdowali się na jego pokładzie, przeszli przez podobne doświadczenia. Pod kierownictwem doktora założyliśmy to miasto.

— Tak oto zaczęło się to, co nazywamy Erą Pierwszą. Wkrótce po przekroczeniu peryhelium, nasz dobry doktor zmarł ze starości. Reszta z nas żyła dalej, osiągnęła poważny wiek. Pewnego dnia niebo poczerwieniało i pogrążyło się w ciemności. W jednej chwili znów znaleźliśmy się w świetle, ale już jako młodzi ludzie. Przez młodzi rozumiem to, co nazywacie "trzydziestolatkowie".

— Podczas drugiej Ery dołączył do nas inny statek, który przybył nam na ratunek. Pod jej koniec wielu pionierów zmarło ze starości, mimo naszej opieki. Zauważyliśmy od początku, że podczas poprzedniej ciemności zjedliśmy każdy skrawek zmagazynowanej żywności, więc następnym razem zmagazynowaliśmy jej znacznie więcej. U zarania Trzeciej Ery wyszliśmy z tego wszystkiego o wiele młodsi. Wtedy wpadliśmy na pomysł, by osłaniać się przed słońcem, zwłaszcza gdy byliśmy najbliżej niego. Stopniowo, poprzez eksperymenty, ustanowiliśmy delikatną równowagę pomiędzy młodością i wiekiem – rytm, według którego żyjemy. Słońce i mgławica są dokładnie zrównoważone i my też musimy być, jeśli mamy żyć pośród nich. Starzejemy się, mówiąc po ziemsku, około osiemdziesięciu lat w słońcu i tyle samo tracimy w ciemności.

— Z łatwością możecie panowie dostrzec, jak niewielki margines mamy w stosunku do śmierci, na końcu każdego cyklu. Śmierć ze starości z jednej strony lub nadmierna młodość z drugiej.

— Nadmierna młodość? To nowy termin dla mnie — spytał Elgar.

— Tak. Jeśli pozwoli się ciału kontynuować wsteczny rozwój, to w końcu osiąga ono stadium niemowlęcia. Nigdy nie udało nam się odkryć sposobu, aby świeże mleko nadawało się do użytku po dwudziestu pięciu lub więcej latach jego przechowywania. A nawet gdybyśmy mieli mleko, niewiele pomogłoby to niemowlętom – nadal by młodniały. Istnieje granica, musicie panowie wiedzieć, praktycznej możliwości odmładzania.

— Och, oczywiście — zauważył dr Elgar.

— **J**estem ciekaw — powiedział Elgar, po wysłuchaniu szczegółów na temat budowy miasta i kolonizacji innych części planety — jakie są wasze

reakcje, gdy nagle budzicie się o Świcie – zupełnie młodzi i z utraconą większością wspomnień.

— Po pierwszym szoku – a jak sobie panowie możecie wyobrazić, zawsze pojawia się taki szok – jest całkiem przyjemnie. Przyjemnie jest, rozumiecie panowie, po prostu być żywym, kiedy jest się młodym. Mówiąc teraz z pamięci – bo pamiętam obecną Erę w całości, poza jej ostatnimi miesiącami – powiem wam, jak ja się czułem na jej początku, a to pozwoli wam zrozumieć niektóre z naszych obyczajów.

— Moje wspomnienia uległy wymazaniu z wyjątkiem dzieciństwa spędzonego na waszej planecie, w starym Bostonie – przypuszczam, że panowie znacie to miasto. Jeździłem na łyżwach w Fenway i mgnienie oka później siedziałem tutaj, w tym samym pokoju, jako szesnastolatek, podczas gdy inny chłopak w tym samym wieku w szacie mnicha mówił mi, że jestem Najwyższym Kapłanem i najwyższym arbitrem życia milionów ludzi. Trudno było w to uwierzyć, ale on pokazał mi długie księgi z moimi własnymi notatkami, które mówiły o władzy sprawowanej we wcześniejszych latach i o tym, co muszę zrobić dalej.

— Wypracowaliśmy ten system, aby zminimalizować chaos, który nęka nas na początku każdej Ery. W tej jednostce jest czterystu kapłanów. Trzymamy dwóch na warcie – pod koniec dwóch miesięcy sprowadzają oni dwóch kolejnych, i tak dalej przez cały okres Mroku. Na rok przed Świtem sprowadzają mnie. Mam trzy miesiące, aby przekonać się o swojej misji i rozpocząć samokształcenie. Następnie ściągamy kardynałów, a później innych przywódców sekcji. Zanim nadejdzie Świt, jesteśmy świadomi naszej tożsamości i wiemy jak straszne obowiązki na nas będą spoczywać, choć będziemy tylko młodymi ludźmi.

— Na zewnątrz, jeśli jesteście panowie w stanie to sobie wyobrazić, nadchodzące światło znajduje całą naszą populację leżącą na ulicach lub w otwartych domach – wszyscy są dziećmi w wieku od dziesięciu do dwudziestu lat. Jak wszystkie populacje, nasza jest mieszanką ludzi inteligentnych, głupich i złośliwych. Bez starszyzny, która mogłaby sprawować kontrolę, bandy bezmyślnych młodzieńców – niektórych można by nazwać bandziorami – sieją spustoszenie w mieście. Dlatego też barykadujemy się i zamykamy ważne miejsca oraz maszyny, zanim nastanie mrok.

— Kontrola nad takimi hordami dzieci jest trudna. Tylko dzięki ustanowieniu systemu, który panowie widzieli – ustanowieniu wysokiego autorytetu mistycznej religii – mogliśmy mieć nadzieję na poradzenie sobie z tłumami młodych rabusiów. Nawet przy tym pierwsza połowa każdej epoki jest tracona na naprawę sytuacji i elementarną edukację. Dlatego nasz rozwój jest taki powolny, jak na wasze standardy.

— Rozumiecie teraz panowie, dlaczego musimy mieć osłonę przed promieniowaniem. Bez tego stracimy kontrolę nas sytuacją. Nie ma żadnej innej siły, która mogłaby ją przejąć, jeśli nam się to nie uda. Powstanie kompletny chaos.

Kiedy skafander ochronny został wniesiony i przekazany mu, zakończył słowami:

— Moglibyście się panowie zastanawiać, dlaczego nie zaprosiliśmy was, młodszych ludzi, do Świątyni na okres Ciemności. To prawda, że moglibyśmy dostosować wasz wiek, trzymając was tutaj przez część czasu, ale zapewniam was, że ryzyko z tym związane byłoby większe niż prawdopodobne zyski. Niebezpiecznie jest sprowadzać młodego i energicznego człowieka z powrotem do światła, oraz poddawać go temu, co wydaje mu się być nagłą i magiczną zmianą w jego środowisku życiowym. Niebezpieczeństwo zagraża nie tylko temu, kto go budzi, ale także zdrowiu samego podmiotu. Nikt nie może być pewnym, w jakim punkcie życia znajduje się on w chwili, w której wybrano go, aby się obudził. To było ryzyko, którego nie odważyliśmy się podjąć.

ROZDZIAŁ XVI

DZIESIĘĆ UTRACONYCH LAT

Od owej rozmowy z arcykapłanem minęły dwa miesiące. Zostawili go zadowolonego faktem, że kapłani nie poniosą żadnej szkody. Przypuszczalnie Jego Świątobliwość powrócił na swój dach, aby wznowić kurs ku swej młodości.

Te dwa miesiące wypełnione były żmudną, wyczerpującą pracą, polegającą na zwożeniu materiałów z magazynów i muzeum do elektrowni, w której Ronny urządził tymczasowe pomieszczenia mieszkalne dla siebie i załogi. Piec rósł, cegła po cegle, powstawały ogromne elektrody. Ludzie Daxona przenosili, po kilka kilogramów na raz, prowiant z jednego z miejskich magazynów rezerwowych, na *Thubana*. Uzupełniano zapasy sprężonego tlenu.

Elgar trzymał się blisko statku, aby zwolnić marynarza wachtowego do cięższej pracy. Wiele niespokojnych godzin spędził w ciemnościach na dworze, obserwując wijącego się, mruczącego coś kapitana. Mimo że nie zapisało się to ani odrobinę w jego pamięci, starzec pędził swe nieszczęśliwie życie wstecz, jego „teraźniejszość" przez cały czas ześlizgiwała się w coraz głębszą przeszłość, a wszystkie wysiłki czynione aby ją uchwycić, były daremne, wypowiedzi niespójne. Ostatnia uwaga arcykapłana bardzo ciążyła Elgarowi – na temat niebezpieczeństwa obudzenia człowieka w wieku dojrzałym. Co się stanie, kiedy Yphon zostanie wyrwany z czasów, w których myślał, że jest, i co wtedy zrobi? Zawsze był aktywnym człowiekiem, nawet gwałtownym. A czy zasada trzy do jednego była niezawodna? Czy w dalszej części mgławicy stosunek ten nie będzie większy?

Pewnej nocy, gdy wszyscy pozostali byli w mieście, zajęci pracą nad rudą telludium, Elgar nie mógł już dłużej wytrzymać napięcia. Odpiął smycz, która trzymała na uwięzi Yphona, i delikatnie wprowadził go do korytarza wejściowego na *Thubanie*. Gdy kapitan szedł dalej, Elgar zamknął właz i zdjął hełm.

Kapitan odwrócony był do niego plecami, ale zauważył, że nagle sprężył się, jakby porażony błyskawicą. Niczym wściekły tygrys wskoczył do opuszczonej sterówki. Szybkim spojrzeniem obrzucił zamontowane osłony anty-promienne, peryskop… i wolne fotele przed tablicami z przełącznikami.

— Gdzie jest Daxon… Ronny! — krzyknął, a jego oczy wypełnione były niepokojem, błyszczało w nich również najwyższe oburzenie. — Jak oni śmieli opuścić swoje stanowiska w takiej chwili! Czy oni poszaleli? Przecież spadamy na Syriusza!

Jednym wielkim krokiem pokonał odległość do panelu z miernikami i szczęka mu opadła. Wskazówka fotometru wychylała się niezgrabnie, próbując bezskutecznie zarejestrować światło ujemne, podczas gdy wskaźniki promieniowania skakały szaleńczo w obszarze obojętnym. Grawimetr wskazywał 0,95, czyli praktycznie grawitację ziemską, podczas gdy jeszcze przed chwilą było to 24 i wskazanie rosło. Z ochrypłym okrzykiem chwycił za kontrolki zasilania ustawione na „Wyłączone" i przerzucił je na całą naprzód, lecz na rufie nie spowodowało to żadnego odzewu. Natura oszalała, lub…

Kapitana uznał, że statek jest martwy, jego instrumenty są niesprawne, a stanowiska zostały opuszczone przez zaufaną załogę, jego udręka była przerażająca. Z jękiem rozpaczy ruszył szybkim krokiem do maszynowni. Elgar próbował go zatrzymać.

— Z drogi! — krzyknął kapitan i w nagłej potrzebie, którą uważał za ekstremalną, rzucił lekarzem o gródź a następnie skoczył w dół przejściem. Posiniaczony i przestraszony doktor zerwał się i pospieszył za nim. Kapitan stał na progu wejścia do maszynowni, słaniając się na nogach. Jego zdumione, niedowierzające oczy wpatrywały się w pustą podłogę, w miejscu w którym niegdyś mruczał potężny Kinetogen. W pomieszczeniu nie było też żadnej istoty ludzkiej. Oszołomiony, weteran kosmicznych szlaków drżał z wściekłości w reakcji na niewytłumaczalną zdradę swej załogi – lub własnych zmysłów.

— Był pan chory — pośpiesznie opowiadał mu Elgar, chwytając go za łokieć. — Jesteśmy bezpieczni, wszyscy. Wylądowaliśmy na planecie – inni są na lądzie.

Oszołomiony kapitan stał tępo, podczas gdy Elgar wygłaszał gorączkowe apele do niego. Po kilku chwilach kapitan zaczął rozumieć. Puste zdumienie zastąpiło jego pełną niepokoju wściekłość sprzed kilku minut.

— Proszę najpierw przeczytać dziennik, panie kapitanie. Pokażę panu, od czego zacząć – minęło sporo czasu. Potem powiem panu więcej.

Pocąc się obficie, przerażony do szpiku kości, Elgar skulił się na krześle, podczas gdy kapitan wertował kartkę po kartce dziennik *Thubana*. Gdy skończył, Elgar w milczeniu wręczył mu jego dziennik osobisty, który sam prowadził w drodze na Athanatę. Kiedy kapitan przeczytał go z zapałem, ale jednocześnie nieomal z niedowierzaniem, Elgar bez słowa podał mu małą zapieczętowaną książeczkę, w której kapitan zapisał swoje najskrytsze myśli.

Podczas gdy kapitan czytał, Elgar przechadzał się po pokładzie. Najwyższy Kapłan miał rację. To był bardzo pochopny pomysł, by tak na ślepo wcinać się w przeszłość człowieka, nie wiedząc, co się tam znajduje. A co by było, gdyby kapitan cofnął się w czasie do okresu przed *Thubanem*, do służby na słynnej starej *Alicii*, kiedy nie znał nikogo z obecnych tutaj, z wyjątkiem starego Angusa. Do historii przeszły porywające kryzysy, przez które przechodziła *Alicia*. „Tajfun Yphon", jak

nazywano starego kapitana w tamtych czasach, „Piekielny diabeł” – kompetentny, owszem, i kochany przez bliskich, ale diabelnie trudny do pokonania. Elgar zadrżał.

Przerażony tymi możliwościami, odetchnął z ulgą, gdy kapitan doszedł do końca swoich notatek i odłożył książkę na bok.

— Jestem człowiekiem przeklętym — powiedział Yphon, miękko, a w jego oczach pojawiły się łzy. — Utraciłem to wszystko.

Lekarz nie był w stanie odpowiedzieć. W jego gardle znajdowała się ogromna bryła, która dławiła wszelkie słowa. Nastąpiło pięć minut pełnej napięcia ciszy, po czym Yphon powoli powstał. Podszedł i poklepał Elgara po ramieniu.

— Bez wyrzutów, mój drogi. Pomysł był w porządku. Najbardziej lubię naturalny porządek rzeczy – to wszystko. Chodź teraz, daj mi skafander kosmiczny. Chcę zobaczyć to słynne miasto pływów życia. Wybieram się na mały spacer.

Ronny – ponury, milczący, skromny – pracował jak mrówka. Z cierpliwością i uporem Syzyfa harował przy wytopie. Zajęło to cały rok zanim jego zaimprowizowany piec był w stanie wyprodukować pierwszą partię telludium. Potem, jak na ironię, gdy wlewali je do domowej roboty formy prawego sektora pająka Kinetogenu, cała parująca masa wybuchła. Ronny był najlepszym inżynierem operacyjnym w galaktyce, ale jako technolog produkcji musiał się uczyć na bieżąco. Nie zastosował wystarczającej ilości otworów wentylacyjnych.

Obejrzał zrujnowaną halę elektrowni, rozpryśnięte na wszystkie strony skrawki metalu i zniszczoną formę. Pozostawała tylko jedna rzecz do zrobienia. Naładować piec, przeprojektować formę i spróbować jeszcze raz.

I tak to szło – opóźnienia, niepokoje, niepowodzenia, porażki. Gdy mijał piąty rok, nie można było już zignorować chłodnej arytmetyki całej sytuacji. Zejdą im tu jeszcze kolejne trzy, a może i pięć. Najmłodsi z nich byli już po czterdziestce, niektórzy po pięćdziesiątce. A po starcie czekało ich jeszcze dziesięć lat lotu.

Choć cały czas zastosowanie odmładzania było czymś możliwym do przyjęcia, każdy z nich wzbraniał się przed tym. Żałosne uwagi Yphona zniechęcały ich do tego.

— Dlaczego nie zastosować tego w małych dawkach? — zasugerował Elgar pewnej nocy. — Wstrząs powinien być proporcjonalny do utraconego czasu i rzeczy, za którymi się tęskni. Nasze dni są teraz wszystkie podobne i kto by się przejmował brakiem któregoś z nich? Nie cofajmy się, ale spróbujmy utrzymać się w miejscu. Napiszmy rozkazy dla siebie na jutro, a potem śpijmy na zewnątrz, z jednym człowiekiem na warcie w środku, który nas przyprowadzi, tak jak to robią kapłani.

Kilku ludzi spróbowało tego rozwiązania. Po paru dniach zaczęli robić to wszyscy. Osiem godzin snu w ciemności, stanowiło ich powszechnie stosowaną dawkę. Wymazywało to wcześniejsze dwadzieścia cztery

godziny; każdej nocy cofali się o jeden dzień. Nie występował wstrząs, bo podobnie jak Athanatczycy, znali już to zjawisko; było ono częścią ich pamięci już przed utratą kontroli.

Tak więc, stosując takie fragmentaryczne odmładzanie, sprawili że podczas długich, żmudnych lat, w których wszystkie ręce były zaangażowane w zmagania z opornym telludium i trudnymi odlewami pająków, ich czas stanął w miejscu. Minęło w sumie dziesięć lat, gdy wreszcie nadszedł ten radosny dzień, w którym wszystkie części Kinetogenu znalazły się w maszynowni. Nie pozostało już nic, poza tylko zmontowaniem urządzenia i przeprowadzeniem testów; potem wrócą do domu, opuszczą tę przeklętą planetę z jej tak niewłaściwie nazwaną nieśmiertelnością.

Na zewnątrz mieli jeszcze jedną rzecz do zrobienia. Muszą odzyskać błądzącego gdzieś Angusa. Powinien mieć teraz około sześćdziesiątki – pewnie nie zmienił się na tyle, aby nie można było go rozpoznać, a poza tym oznaczony był swoim nazwiskiem. Kapitan znał go od pięćdziesięciu lat i rozpoznałby go na pierwszy rzut oka, nalegał więc na to by on sam poprowadził poszukiwania.

Znalazł go w zwykłym miejscu, w magazynie spożywczym. Po powrocie na statek, jego przebudzenie przebiegło według zwykłego schematu – zdumienie na widok tak starego kapitana… nieznany statek i jego załoga. Myślał, że jest na starej *Alicii*, na czwartej planecie Achernar. Płakał jak dziecko, gdy dowiedział się prawdy.

Przez wiele dni kapitan trzymał się blisko niego, snując opowieści z ich wspólnego doświadczenia. Kapitan i steward – dzieliła ich przepaść rangi, ale obaj byli ludźmi, byli kolegami ze statku i dzielili wspólnie tysiące niebios oraz piekieł. A w tle ich rozmów słychać było miarowy stukot młotów, brzęk metalu o metal, gdy przeklinający Ronny składał w całość zespawane fragmenty swojej wielkiej maszyny, by pozwolić im zakończyć ten ostatni etap.

ROZDZIAŁ XVII

ODRODZENIE

Podczas swej ostatniej podróży do elektrowni, traktując tę sprawę jako kwestię podstawowej przyzwoitości, Ronny uporządkował to miejsce najlepiej jak potrafił. Na zewnątrz ludzie znów stawiali barykadę.

— Co za niecny bałagan — powiedział ze smutkiem, patrząc na wrak hali maszynowej, roztrzaskane maszyny i zastygłe strumienie diamentowo twardego żużlu z telludium. — To okropny wstyd zostawić czyjąś halę maszynową w takim stanie – ale co innego możemy zrobić?

Pociągnął za przełącznik po raz ostatni i wygasił ogień pod kotłami. Daxon pomyślał też z żalem o stanie nieporządku, w jakim pozostawił splądrowany magazyn z żywnością oraz zrabowane gabloty muzealne. Hygonianie zachowali się w stosunku do nich przyzwoicie – wydawało się to więc czarną niewdzięcznością.

— Wiem, co zrobić — zgłosił się nagle Ronny. — Na *Gnatcie* pozostało wiele rzeczy, które warte są swojej wagi w radzie. Dlaczego nie napiszemy do tych starych capów listu z podziękowaniami i nie powiemy im, co mogą z tym zrobić. To więcej warte niż zapłata za to, co zniszczyliśmy.

Tej nocy sporządzili dokument z podziękowaniami i przeprosinami. Dołączyli do niego traktat o wykorzystaniu rzadkich rud metali w muzeum i dodali trzy książki techniczne z ich własnej biblioteki okrętowej. Biorąc ze sobą ich ofertę, Elgar i Daxon ruszyli w stronę Świątyni, ale zanim zaszli daleko, Elgar rzucił się z powrotem na statek. Chciał zabrać ze sobą notatnik, w którym dawno temu zanotował tajemnicze liczby kodowe wypisane na Yphonie i Angusie. To musi być oznaczenie ich danych w tajnych archiwach kapłanów.

Droga do Świątyni minęła spokojnie. Drzwi, których używali wcześniej, były zapieczętowane, ale złamali pieczęć i weszli do znajomej, oświetlonej świecami sali. Nikt nie wyszedł in na spotkanie. Bez przeszkód wspięli się na ostatnie piętro, gdzie spali obaj kapłani wachtowi. Nie byli to reumatyczni stulatkowie jak poprzednio, lecz mężczyźni w zaawansowanym wieku średnim, ich włosy były gęstsze i czerniały. Po cichu oficerowie złożyli swoją ofiarę obok jednego ze śpiących kapłanów i równie cicho wycofali się z pomieszczenia.

Pięć minut później znajdowali się już na niższym piętrze, przeszukując szafki z serii „ZR-17”, kod, który pojawiał się w obu interesujących ich numerach. Chwilę później na rękach i kolanach przeglądali stosy papierów, które znaleźli i zebrali na podłodze. Były tam higoniańskie dzienniki obu ludzi, poznaczone wieloma usuniętymi liniami i dopiskami w kapłańskiej czerwieni. Znaleźli również duże dossier na temat załogi *Thubana*

generalnie, coś w rodzaju raportu athanatiańskich służb specjalnych. Daxon zauważył, że każdy jego ruch i wypowiedź zostały zanotowane i zarejestrowane. Nie miał pojęcia, że jest tak dokładnie obserwowany.

Nagle otworzył szeroko oczy. Miał zamiar odrzucić teczkę oznaczoną „Ark-Biskp, Nu-Teksis" jako nie należącą do tych akt. Jednak teczka naprawdę powinna się w nich znajdować. Znajdowały się w niej listy dotyczące działalności pewnego Ziemianina – Ubsna, który dokonywał jakichś poszukiwań na górzystym zachodzie. Były to skargi do Najwyższego Kapłana na arogancję i brak szacunku okazywane przez wścibskiego Ziemianina. Najwyraźniej ujeżdżał on miejscową starszyznę twardą ręką. Ostatni list w kopercie brzmiał:

Świątynia Ark-Biskp, Nu-Teksis, Pozdrowienia:

Zgodnie z Twymi rozkazami odurzyliśmy irytującego Ubsna i w czasie kiedy był pozbawiony świadomości, zabezpieczyliśmy go. Wysyłamy go do was specjalnym samolotem. Proszę o potwierdzenie. Nr 87.
AB.

Wielka Świątynia, Hygon.

Potwierdzenie. Zgoda na 87. Zamknąć więźnia w jednostce K oddziału więziennego, Pod-świątynia 9, Hygon. Wypuścić z innymi więźniami o czwartej godzinie ciemności. Rozkaz nr 1.
H.P.

— Teraz więc wiemy już, co robią ze swoimi więźniami — skomentował Daxon.
— Tak — wybuchnął podekscytowany Elgar. — Ale czy nie rozumiesz? Ulberson jest gdzieś tutaj – zagubiony w ciemnościach. Przecież, on musi być małym chłopcem – nie był starszy od ciebie – cud, że nie wpadliśmy na niego.
— I co z tego? — odparł obojętnie Daxon. — W każdym wieku byłby wrzodem na tyłku.
— Wiem, ale kapitan nie czułby się dobrze, gdybyśmy odlecieli i pozostawili go tutaj. On szczyci się tym, że nigdy jeszcze nie porzucił żadnego ze swoich ludzi.

Jednak to znalezisko było niczym w porównaniu z następnym. Była to notatka dołączona do końcowej części akt osobowych Yphona. Można było w niej przeczytać:

Po dokładnej analizie dziennika tego człowieka i zapisków na jego temat, zarządza się, by w XVIII Erze otrzymał on do przestudiowania dossier Prizdinta i został poinstruowany w zakresie obowiązków tego urzędu. Kiedy tylko będzie gotowy, postawić go na czele. Wspomniany Yphn otrzymuje oznaczenie numeryczne nr 2. Prizdint XVII Ery zostanie przeniesiony na gubernatorstwo prowincji Mexko - nr 245. Zmienić jego zapisy w tym celu. Na mocy rozkazu nr 1.

H.P.

— Zawsze uważałem, że Najwyższy Kapłan to mądry facet — zauważył Daxon, gdy Elgar schował rozkaz do swojego pancerza ochronnego.

— Ale popatrz tylko, jak kapłani przestawiają ich dookoła jak pionki — zauważył Elgar, kiedy tylko pełne implikacje znalezionego dokumentu stały się dla niego jasne. — Jeśli mu tego nie powiedzą, kapitan nawet się nie dowie, że kiedykolwiek miał coś wspólnego z *Thubanem*. Ciekawe, czy powiedzieliby obalonemu Prizdintowi, kim kiedyś był?

W drodze do wyjścia zatrzymali się na chwilę w pomieszczeniu, w którym widzieli mapę Hygonu, aby zlokalizować świątynię nr 9. Szybko zrozumieli, dlaczego nigdy nie widzieli na ulicy małego chłopca – było to w odludnej części miasta.

Dwie godziny później, rozpoczęli czuwanie w magazynie spożywczym w tej miejscowości. Ich oczekiwanie było długie, ale nie nudne. To miało być ich ostatnie spojrzenie na Athanatczyków w całej migotliwej dziwności tego ich auto-światła. W końcu wynagrodziło im je wejście chłopca liczącego może osiem lat.

Zrzucił swoje zbyt wielkie ubranie i owinięty był w szmatę, która musiała być bardzo brudna, sądząc po jej zróżnicowanym zabarwieniu. Podszedł do pojemnika i sięgnął. Niski wzrost działał na jego niekorzyść. Dwukrotnie nie udało mu się dosięgnąć upragnionej paczki z jedzeniem, i tyle samo razy skopał pojemnik, krzyczał i tarzał się po podłodze, charcząc.

— To on — mruknął ponuro Daxon i pochwycił dziecko.

— **N**azywam się Hubert Ulberson — oznajmił im w blasku świateł kabiny statku — i kiedy dorosnę, będę sławnym odkrywcą. Gdzie jest moja mama – chcę jakiegoś cukierka.

— Zabierzemy cię do twojej mamy. Ale nie będzie cukierków – przynajmniej nie teraz — powiedział Yphon, uprzejmie, bardzo dotknięty widokiem dziecka.

— Łaaa! Ja chcę cukierka… daj mi jakiegoś cukierka… ty brudny staruchu!

— Zabierzcie go — polecił Yphon, a w jego głosie brzmiał smutek. — Później się z nim dogadam.

Kinetogen szumiał. Ekrany były ustawione, wszystko było gotowe. Wokół Kinetogenu porozstawiane były banki neutralizatorów, wygaszających jego potężny ciąg, gdy obracał się w swojej próbie dokowej. 10, 15, 20, 25... na połowie przepustnicy. Mnóstwo antygrawitacji, wystarczająco dużo nawet, by mogli zmierzyć się z Psią Gwiazdą, gdyby trzeba było to zrobić. Ronny wykonał świetną robotę.

— Przygotować się do startu — powiedział kapitan. U jego stóp leżała kartka z rozkazem Najwyższego Kapłana, kawałek papieru, który uczyniłby go Prizdintem Athanaty. Rzucił wcześniej na niego okiem i cisnął go na ziemię z niecierpliwym prychnięciem. W jego mniemaniu był to pusty komplement.

— Gotowi, panie kapitanie! — zameldowali zgodnie jego oficerowie.

— Startować.

Za godzinę Athanata zostanie już daleko w dole. Kiedy uwolnią się od jej słabego przyciągania, ich grawimetry wskażą im kierunek, w którym powinni się udać – nie mogło być daleko do miejsca, gdzie ponownie zobaczą białe gwiazdy i wspaniałą czerń czystego kosmosu. Kinetogen był zachwycający – statek znów żył - wznosili się.

Mały chłopiec, nadąsany i marudny, znalazł się z powrotem w sterówce, ciągnąc Ronny'ego za tunikę.

— Łaaa! Ja nie chcę lecieć. Chcę zostać na dworze i tam się bawić!

— Chodź tu, synu — oznajmił Yphon, delikatnym tonem.

— Paskudny staruch – nienawidzę cię. Stara pomarszczona gęba! Łee…e — i wystawił bezczelny czerwony język.

— Chodź tu!

Ciężka łapa złapała za kark wijącego się małego Huberta i pociągnęła go w stronę czekającego już kolana.

— Nauczyłem się na Athanacie jednej rzeczy — powiedział stanowczo kapitan, kiedy przekładał kopiącego, gryzącego bachora przez kolano — a mianowicie, że tutaj zawsze można dostać kolejną szansę…

Marynarze o twardych twarzach stali na swoich stanowiskach startowych, z dłońmi na sterach lub pokrętłach reostatów. Ich oczy nie odrywały się od znajdujących się przed nimi przyrządów, lecz ich uszy wykręcone były do tyłu, aby wychwycić najdrobniejszy dźwięk w pomieszczeniu za nimi, a na każdej twarzy widniał szeroki uśmiech radości.

— A teraz, synu… — i włochata prawa ręka odciągnęła szatę, odsłaniając plamę drżącego różowego ciała… — Jeśli tym razem, nie wyrośniesz na CZŁOWIEKA... nie będzie to wina starego Pola Yphona.

Plask! (Auć!) PLASK! (ŁAAA!) PLASK!

KONIEC